ŁOWIEC POLSKI



Pierwszy śnieg na Polesiu. Fot. por. E. Bohdanowicz.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 35 (919) 10 GRUDNIA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Wilk ubity przez ppłk. J. Gartnickiego w Berdówce k/Lidy. Fot. por. Rupiński.

SKARBY ŁOWIECKIE JAWORZYNY

Jaworzyna — stosunkowo niewielki, bo tylko ca 12000 ha wynoszący zakątek górski—jest prawdziwym klejnotem przyrodniczo-łowieckim. Jaworzyna stanowi wspaniały park natury, odznaczający się niezwykłem pięknem krajobrazu, nie wypaczonego ręką człowieka. Znajduje się tam nadzwyczaj cenny ośrodek ochrony fauny wysokogórskiej — zwierzyniec założony przez ks. Hohenlohego, a przed 3-ma laty wykupiony od niego przez rząd czechosłowacki. Z chwilą przyłączenia Jaworzyny w dn. 27.XI. b. r. do Polski — zwierzyniec ten stał się własnością Skarbu Państwa.

Z wyżej podanych 12000 ha—6500 ha przypada na lasy. Zwierzyniec jaworzyński częściowo jest sztucznie ogrodzony płotami z żerdzi na słupach 2,5 m., a częściowo zostały wykorzystane strome granie i skały. Granica naturalna (skalna) zwierzyńca przebiega od Rysów w kierunku północnym przez Młynarz. Nad prawym brzegiem Białej Wody zaczyna się ogrodzenie sztuczne i posuwa się w kierunku północnym do Łysej Polany, od której zakręca ku wschodowi na Gałajdówkę przy Jaworowym Potoku, skąd zawraca na północny zachód i okala Murań, wznosząc się ponad Nowy Potok do stromej grani Murania. Dalej granica zwierzyńca jaworzyńskiego przechodzi przez szczyt Murania na wschód — na Nowy Wierch, gdzie się zaczyna znowu ogrodzenie sztuczne, ciągnące się do Hawrania i przebiegające ku południowi przez dolinę Koperszadów do doliny Kołowej, kończąc się pod Żółtą Czubą. Dalej granica zwierzyńca przechodzi przez Świnkę, Kołowy Szczyt, Baranie Rogi, Lodowy, Mały Lodowy, Świstowy, Polski Grzebień, Gerlach i idzie ku wschodowi aż do Rysów.

Po krótkiem omówieniu granic zwierzyńca podam dokładne dane uzyskane z Instytutu Badawczego L. P. Oddz. Rezerwatów, obrazujące skład zwierzostanu. W zwierzyńcu przebywa obecnie ca 500 sztuk jeleni, ca 400 kozic, ca 30 koziorożców, które całkowicie się tutaj zaklimatyzowały, oraz 2 dorosłe niedźwiedzie z dwoma piastunami. Jaworzyna poszczycić się może licznemi osiedlami świstaków. Pozatem przebywa tam sporo sarn. W celu zapobieżenia przechodzeniu sarn na stronę polską, w ostatnich latach wzniesiono płot druciany, poczynający się przy Urzędzie Celnym w Jaworowym Potoku i ciągnący się wzdłuż dawnej granicy do wierchu Bryja.

Hodowla i ochrona zwierzyny w tym zwierzyńcu prowadzona była wzorowo, przyczem nie szczędzono poważnych, sięgających 180.000 zł. rocznie, wydatków. Wobec znacznego zagęszczenia zwierzostanu i stosunkowo małej powierzchni, konieczne było stałe dokarmianie, gdyż naturalne zasoby pożywienia nie mogły zaspokoić potrzeb licznego pogłowia zwierzyny, zwłaszcza jeleni.

Według danych zawartych w odnośnym artykule w „Waidwerk der Welt" w zwierzyńcu tym przebywają, oprócz jeleni europejskich, marale i wapiti, co należy uważać za poważny defekt z punktu widzenia zachowania czystości rasy tej zwierzyny. Z wyżej wymienionego dzieła dowiadujemy się także, że ilość koziorożców (w 1937 r.) wynosiła w Jaworzynie 86 sztuk, z czego należy wywnioskować, że przebywają one również poza obrębem przejętego przez nas zwierzyńca.

Gospodarkę łowiecką w zwierzyńcu jaworzyńskim prowadził specjalny fachowy personel, składający się z nadłowczego i 5-ciu łowczych. Na terenie zwierzyńca znajduje się piękny dworek myśliwski, mający dobrą komunikację automobilową z Łysą Polaną, która

ma szosowe połączenie z Zakopanem. Wszystko to świadczy o tem, że teren jaworzyński był traktowany pod względem łowieckim niezwykle pieczołowicie i stanowił niezmiernie cenny objekt przyrodniczy, zagospodarowany podług zasad racjonalnego łowiectwa. Świadczą o tem również daleko idące ograniczenia ruchu turystycznego wprowadzone przez rząd czechosłowacki. Dla turystyki pieszej otwarte były następujące szlaki (pg danych dostarczonych przez Inż. St. Smólskiego, Kierownika Parku Narodowego w Pieninach):

1) Szlak prowadzący do przejścia na Matlary (południowa strona Tatr) od Jaworzyny przez Gałajdówkę, Koperszady i Przełęcz pod Kopą);

2) Szlak na szczyt Lodowy przez dolinę Jaworową. Z Lodowego przejście przez Pięć Stawów spiskich do Smokowca.

3) Szlak biegnący doliną Białej Wody do Polany pod Wysoką, na Polski Grzebień, a stamtąd do Smokowca lub Szczyrbskiego jeziora.

4) Szlak przy Przełęczy Zdziarskiej przez Rzepisko, Suchy Wierch na Jurgów.

Wszystkie te szlaki są znakowane i zbaczanie z nich było karane aresztem i grzywną. Wszędzie umieszczone były wzdłuż szlaków tablice wyszczególniające zakazy i kary. Narciarze korzystać mogli tylko z trzech szlaków:



Wieniec byka z Nadl. Rafajłowa. 1937 r. Własność dra płk. B. Szareckiego.

1) Jaworzyna, Gałajdówka—Koperszady i Przełęcz pod Kopą na wschodniej granicy zwierzyńca.

2) Doliną Białej Wody na Polski Grzebień na granicy zachodniej.

3) Wschodnią granicą zwierzyńca od Przełęczy Zdziarskiej w kierunku północno zachodnim.

Centralna część zwierzyńca była całkowicie wyłączona z sieci szlaków turystycznych, przyczem ruch narciarski odbywać się mógł tylko wzdłuż granic. Dzięki tym ograniczeniom zupełny spokój był zapewniony w najważniejszym rewirze Szerokiej Jaworzyńskiej (jedyna ostoja niedźwiedzi w Tatrach, ośrodek aklimatyzacji koziorożców i największe skupisko kozic).

Utrzymaniu spokoju w zwierzyńcu sprzyjał także brak schronisk turystycznych na obszarze Jaworzyny. Dzięki istnieniu schroniska w Roztoce i istnieniu 5-ciu schronisk wzdłuż obecnej granicy Słowacji, nie zachodzi na szczęście potrzeba wybudowania schroniska na terenie jaworzyńskim.

Po tem bezstronnem statystycznem przedstawieniu wartości faunistyczno łowieckich zwierzyńca jaworzyńskiego, będącego zarazem najwspanialszym w Wysokich Tatrach parkiem natury, oraz możliwości turystycznych na obszarze Jaworzyny, słów kilka powiedzieć należy o konieczności utrzymania celowo wprowadzonych przez rząd czechosłowacki ograniczeń ruchu turystycznego. Chyba każdy miłośnik przyrody, każdy człowiek, doceniający wartość takiego kompleksu łowieckiego o doniosłem znaczeniu naukowem i niezrównanych walorach krajobrazowych, zrozumie, że wzmożenie ruchu turystycznego i narciarstwa na terenie zwierzyńca oraz wszelkie poczynania zmierzające do udostępnienia szerokim rzeszom pierwotnych zakątków górskich — pociągną za sobą niechybną zagładę zwierzyńca, zniweczą świetne wyniki aklimatyzacji koziorożców, nigdzie w Tatrach poza Jaworzyną nie występujących, zniszczą największe w tej części Europy skupisko kozic...

Doceniając znaczenie narciarstwa i turystyki wysokogórskiej, nie możemy jednak rozszerzać ekspansji tych sportów kosztem zagłady nielicznych skrawków pierwotnego oblicza naszej ziemi, których dotąd nie tknęła bluźniercza ręka t. zw. kultury. Jaworzyna musi pozostać nadal matecznikiem łowieckim, gromadzącym w sobie niespożyty urok pierwotności, a gospodarka w nim winna być nadal oparta na postulatach racjonalnego łowiectwa. Zawsze i wszędzie strzedz się musimy popadania w krańcowość, a zatem w zwierzyńcu tym obok prawidłowej hodowli i pieczołowitej ochrony należy prowadzić wzorem dawnych gospodarzy, którzy w tym wypadku stali na wysokości zadania, uwarunkowane naszemi możliwościami gospodarczemi użytkowanie zwierzostanów, nie zapominając przytem o konieczności utrzymania czystości rasy tamtejszych jeleni drogą eliminacji osobników o cechach marala lub wapiti. Jak się dowiadujemy z miarodajnych źródeł, roczny odstrzał kozic wynosił tam około 40 sztuk.

Zwierzyniec jaworzyński będzie teraz prowadzony pod zarządem Administracji Lasów Państwowych, która ma za sobą duże zasługi w dziedzinie odrodzenia i utrzymania rodzimej fauny, a także w dziedzinie aklimatyzacji nowych gatunków, a mianowicie muflonów i bizonów, do których możemy doliczyć dzisiaj wspaniałe zwierzę alpejskie — koziorożca. Szereg danych o stanie i hodowli koziorożców i kozic w innych państwach znajdujemy w dziele „Waidwerk der Welt", księdze pamiątkowej Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie w 1937 r. Wiadomości te podam w osobnym artykule, stanowiącym do pewnego stopnia uzupełnienie niniejszego artykułu sprawozdawczego o Jaworzynie.

Powracając do zagadnienia turystyki na nowych terenach tatrzańskich, nie można pominąć jednomyślnego z poglądami myśliwych i miłośników przyrody stanowiska samych turystów, które znalazło swój wyraz w Nr. 22 z dn. 15.XI. r. b. „Wiadomości Turystycznych". W artykule p. t. „Jaworzyna wróciła" znajdujemy ciekawy i wielce pocieszający ustęp, który w całości przytaczamy:

„Obecnie jednak, kiedy Jaworzyna wróciła do nas, wzbogacając nasze niewielkie Tatry, należy baczyć, aby na terenach tych, stanowiących wspaniały park natury, w którym, obok licznych okazów świata roślinnego i zwierzęcego (istnieje tu nawet hodowla koziorożców alpejskich, zapoczątkowana przez ks. Hohenlohe, następnie zaś prowadzona wzorowo przez rząd czechosłowacki), występuje w całej pełni piękno tatrzańskiego krajobrazu wysokogórskiego, nie usiłowano znowu „poprawiać przyrody" i aby nie „cywilizowano" tej części Tatr".

„Jaworzyna powinna wejść w skład Tatrzańskiego Parku Narodowego, którego realizacja przecież powinna nastąpić już raz nareszcie w swoim dzisiejszym nienaruszonym stanie".

My myśliwi i miłośnicy przyrody, czuwający nad jej ochroną — powinniśmy wszyscy zgodnie dążyć do zapewnienia nienaruszalności najwspanialszego klejnotu tatrzańskiego — Jaworzyny, klejnotu zdobiącego dzisiaj Koronę Macierzy — Polski!

Inż. W. LINDEMANN.



Piękny dublet. Fot. H. T. Kuszaba-Dąbrowski.

SŁOWNICTWO ŁOWIECKIE

— Bywaj — kochany Hubercie — dawno niewidziany!

— Darz bór! Jakżeż się cieszę, Eustachy, że cię spotykam! Kiedyż to ostatni raz się widzieliśmy?

— Będzie ze trzy lata, Hubercie, o — pamiętasz... w tych krzaczkach, gdzieś to wielkodusznie dwa razy mykitę ułaskawił!...

— No, no, — nie bądź tylko złośliwy, bo wyszedł wtedy tak, że nie szło inaczej... Ale teraz opowiem ci ciekawe zdarzenie, którego sam byłem świadkiem na ostatniem polowaniu...

— Dobrze, wal to opowiadanie, tylko — proszę cię, Eustachy — bez blagi!...

— Skądżeby!... Otóż wiesz, na zbiórce w Pustaci powiada gospodarz: Panowie, (pań nie było) strzelamy zające, bażanty, lisa, gdyby się trafił, a także postrzelonego w nogę przez kłusownika kulawego rogacza, który się tu kręci po zagajnikach. Powiadamy: dobrze — i nagonka ruszyła. A był z nami profesor A. z okularami i w nowych berlaczach. Znasz go i może ci on to wszystko potwierdzić, co tu opowiem. Polujemy sobie, polujemy i już się zbliżamy zwolna do miotu bigosowego. Akurat profesor stoi na stanowisku wedle mnie. Widzę, że składa się i strzela na sztych. W tym momencie wypada z miotu rogacz i wali rogami wprost w profesora. Zdębiałem!... Z profesora, rogacza i berlaczy powstało istne kłębowisko. Po chwili na rozkładzie pozostał rozłożony profesor bez okularów i strzelby, którą rogacz, nadziawszy się na pas, uniósł z sobą w gąszcz!

— Jak jeszcze powiesz, że rogacz wystrzelił z tej strzelby do profesora — to dalibóg, nie wytrzymam!...

— Ależ nie, Hubercie, wystrzelić nie wystrzelił, ale rozbroił człowieka i pozbawił całkiem jeszcze przystojnej tesznerówki. Przecież to jest niebywały wypadek, który powinien być zapisany wielkiemi literami w almanachu zdarzeń myśliwskich!

— No dobrze, ale co się stało dalej?

— Zbiegliśmy się do zmaltretowanego i niesłychanie skonfundowanego pechowca i — pytaniom nie było końca. Ale skoro się wszystko ujawniło i stwierdzono, że profesorowi naogół nic się nie stało, a okulary całe znaleziono — homeryckiemu śmiechowi także końca nie było! Dopiero nazajutrz gajowy znalazł strzelbę w krzakach i zwrócono ją właścicielowi, który ponoć zrezygnował na zawsze z dalszych sukcesów i przygód na niwie mojego świętego patrona.

— Przedewszystkiem ogólnie wiadomo, że opiekunem łowiectwa jest mój, a nie twój patron, a następnie, pominąwszy prawdziwość opowiedzianego mi zdarzenia, razi mnie, że ty, stary myśliwy, nie przestrzegasz w wyrażeniach terminologicznych ścisłości.

— Gdzie? Co? Kochany Hubercie?...

— Ano, mówisz mi o nogach i rogach rogacza, choć wiesz przecież, że język łowiecki, który jest chlubą myśliwych i skarbem narodu... ustalił określenia inne, a mianowicie badyle i parostki.

— Dobrze, żeś mi ten zarzut postawił i ten temat poruszył. Chętnie go z tobą przedyskutuję, tem bardziej, że jest aktualny, ile że są usiłowania, zmierzające właśnie do ustalenia naszego języka łowieckiego. Z zajęciem studjowałem projekty Kpt. Kobylańskiego, obejmujące terminologję odnośnie poszczególnych zwierząt — i przyznam ci się, że nasunęło mi się wiele wątpliwości...

— Bo ty, Eustachy, musisz zaraz zawsze do wszystkiego być zbyt krytycznie usposobiony. Dlatego pewnie zdetronizowali cię z patronowania łowiectwu!... I cóż takiego w tych dążeniach ci się nie podoba?

— Właśnie jestem gorącym zwolennikiem prac wszczętych w tym przedmiocie i umiem ocenić ogrom trudów, jakie czekają tu językoznawców. Ale obawiam się, czy potrafimy zachować umiar, abyśmy, dążąc do utrwalenia potocznego języka łowieckiego—bo o to tylko może chodzić — nie popadli w skrajność i, miast ludzkiego języka, nie próbowali stworzyc niezrozumiałej dla szerszego ogółu gwary, upstrzonej dziwolągowemi wyrażeniami, genetycznie i rdzeniowo nie związanej z naszą polską mową.

— Mój kochany, twoje obawy są płonne. Każde ugrupowanie społeczne, ideologiczne czy zawodowe, do językowej skarbnicy żywej mowy wnosi swój wartościowy udział w formie pereł nietylko wyrażeń, ale całych zwrotów, wszystkim naogół łatwo zrozumiałych i dostępnych. Nic dziwnego, że ten swój udział ma i łowiectwo, nietylko dlatego, że u źródeł prabytu

ludzkości stanowiło warunek jej życia, ale że w drodze atawistycznych skojarzeń tkwi jeszcze dziś głęboko w instynkcie każdego zdrowego społeczeństwa. Dobrze więc dla nas i dla naszej kultury językowej, że w odrodzonej ojczyźnie znaleźli się ludzie ideowi i pracy się nie lękający, którzy podjęli studja, zmierzające do ustalenia i uporządkowania łowieckiego słownictwa i swe wyniki badań naukowych oraz opracowane projekty oddali pod filtr dyskusji ogólnej.

— Oczywiście zgadzam się z tobą w zupełności, a nawet poprę twe wywody nasuwającym mi się przykładem. Kiedyś strzeliłem w miocie lisa (nie zawsze — mój kochany — byłem łaskawy). Padł na czystem i leżał bez ruchu. Nagonka głosiła jeszcze daleko. Nie schodziłem więc ze stanowiska, pilnując — i bacząc jednak na mego lisa. Bo to wszak z takim spryciarzem różnie być może. Po dłuższym czasie widzę, że lis podniósł kitę, machnął nią, — poczem już bezsilnie opadła na mchy. Uprzytomniłem sobie, że jest to widać ostatni objaw życia i że fakt ten wielokrotnie zaobserwowany, spowodował powstanie może niezbyt eleganckiego, niemniej jednak uzasadnionego i znanego zwrotu: odwalił kitę. Ale o ile ten np. zwrot, niewątpliwie łowiectwu swe życie zawdzięczający, jest trafny i jasny — to o wielu innych wyrażeniach, uzyskujących prawem kaduka w terminologji łowieckiej pomału obywatelstwo, tego powiedzieć nie można!...



Poleskie bagno. Fot. Illinicz.

— Przejdźmy, Eustachy, od ogólników — i powiedz mi o co ci w szczególności i konkretnie chodzi?

— Chodzi mi o to, coś sam powiedział, aby wyrażenia łowieckie były zrozumiałe i dostępne, aby dalej stanowiły genetyczny związek z naszą mową i wolne były od obcych naleciałości, aby na określenie pojęć znanych nie operowano terminami zbyt sztucznemi, aby — jednem słowem — w ambicjach, że „myśliwi nie gęsi, bo swój język znają" nie posuwano się rzeczywiście do stworzenia jakiegoś „języka", jeno do utrwalenia tradycyjnych, względnie powstających wyrażeń, harmonizujących z mową poprawną i jej regjonalnemi odcieniami. Inaczej — my myśliwi — posługujący się terminami zbyt oderwanemi lub niejako zakonspirowanemi, tworzylibyśmy jakąś cudaczną kastę, niezrozumiałą dla ogółu, a może często i śmieszną!...

— Chciałeś niby przejść do szczegółów, a tymczasem zapalasz się wciąż w wywodach teoretycznych i zdaje się niezbyt słusznych. Gdzież tu widzisz niebezpieczeństwo popadnięcia w przesadę i śmieszność?

— Zaraz ci, Hubercie, powiem. Niedawno jadę pociągiem. W przepełnionym wagonie rozgłośnie opowiadają dwaj myśliwi (jeden z piórkiem, drugi z kitką). Ten z kitą mówi: „Staję — uważasz — na wekslu, aż tu dynduje kraśny krzyżak, wytknął z drągowiny wietrznik i zakołkował. Po strzale szustał i jechał na sankach. Miał przebite narogi i uszkodzony fiołek". Zauważyłem, że otoczenie z trwogą zaczęło się oglądać na rozprawiających, tembardziej, że było to koło Rybnika, gdzie — jak wiadomo — jest zakład, leczący ludzi z różnych fiołków...

— Przyznam się, Eustachy, że uważam przykład za niezbyt poprawny i w dodatku przejaskrawiony. Taką pianą słownej frazelogoji doprowadzilibyśmy istotnie do spospolicenia i zdewaluowania tego, co w łowiectwie jest piękne i wzniosłe. Nikt przecież w miejscu i okolicznościach nieodpowiednich taką terminologiczną pseudoerudycją popisywać się nie będzie.

— Skąd wiesz? Właśnie tu także tkwi niebezpieczeństwo, byśmy miast podnieść nie obniżyli powagi łowiectwa. Terenem naszego życia jest świątynia przyrody, pełna godności i dostojeństwa. Niema tu miejsca na dziwactwa i snobizmy, ani też nie możemy się zamknąć i sztucznym murem odgrodzić od świata! Chcesz przykładów — będziesz je miał!... Czy mają rację bytu takie słowa jak: weksel, sztreka, szustać, grandle, fladry? A niby skąd mam się zgodzić na takie powiedzonka: wyżeł dowodny, zając kołkuje i marcuje, lis znów dynduje — czy brak nam na to porządnych określeń? Przecież zając skromny, choć jego sadło skromem się zwie, nie będzie jednak odznaczał zająca tłustego lecz raczej chudego, tak jak znów kraśny nie tłustego, lecz wogóle z wyglądu ładnego. Trudno, byśmy w naszych określeniach przewracali do góry nogami zasadnicze pojęcia językowe i wprowadzali jakąś wyższą filozofję. A takie dziwactwa jak: badyle, kęsy, grzęzy, narogi, kłańce, wietrznik, tabakiera, podciołek? Także, o ile u wilka nazwanie oczu lampami wygląda na trafne, to świece u sarny wydają się dość dziwne. Ale szczytem wszystkiego to są te osławione parostki, dalej cewki, stawki, gwizd, polano, jałówka!!... Nie widziałem myśliwego, któryby bez czkawki nazwał rożki sarnie parostkami. W nazwaniu nóg sarnich cewkami przebija brak zdrowego rozsądku. Stawki wyglądają mi na językowy flircik — nie tędy droga do wzbogacenia naszej mowy, bo co to jest stawka i weksel — aż nadto dobrze wiemy! Na odwadze nam nie zbywa, skoro ryj dzika gwizdem pospolitować próbujemy! Ładny gwizd!... Niech nasi kresowi bracia rozstrzygną, zali wilk zamiast ogona ma polano, ja uważam, że polanu należałoby dać spokój — niechby już na zawsze pozostało tem, czem jest — t. j. kawałem drewna. Konia z rzędem temu, kto z czystem sumieniem kuropatwę, której rozbito gniazdo i jaja, nazwie jałówką. A jakże nazwać jej męża? Chyba jałowiec... Ale to nie byłoby słuszne, bo tylko ją jaj pozbawiono!... A co jest jałówka i jałowiec — to też przecież dobrze wiemy. W ten sposób nie spęcznieje nowemi wartościami nasz język, który jest skarbem narodu.

— Hamuj się, człowieku, więc do stu fur beczek furgonów, wszystko jest źle?! Obawiam się, że wsadzasz kij w mrowisko!

— O wcale nie, nie wszystko złe.. Mnie chodzi o to, byśmy byli łagodni i wstrzemięźliwi i unikali słów nadętych i pustych. Jest cały gąszcz wyrażeń wspaniałych, które w naszej świątyni (jak w każdej świątyni) pocichu, ale z całą godnością wymawiać można — i należy. Oto niektóre: wieniec, myłkus, chyb, wadera, piastun, barłóg, gawra, wir, strugi, żeremie, pasemko, turzyca, trzeszcze — choć Kpt. Kobylański ich nie uwzględnia — słuchy, rosochy, łyżki, nawet klempa, gomuły, choć wolałbym guzy, perły, zrzuty, cieczka, ciąg, czuryk, paprzysko, skrzekot, zapady, sady itd. itd. Ale miałbym już pewne zastrzeżenia co do takich określeń, jak zgrzebła, cieki, krektun, mykita. Powin-

się mówić nagonka, nie naganka *), sierść nie szerść. Byłoby dobrze, by słowo gon, przyjęło się jako określenie polowania. Na Śląsku idziemy na gon, znaczy idziemy na polowanie. Mogłyby wyjść ładunki pod nazwą: „gon", bo to jest naprawdę śliczne i staropolskie wyrażenie łowieckie. Trzebienie nie powinno oznaczać patroszenie, bo co jest trzebieniec i eunuch — wiadomo, jak również deptania i oprawiania nie należy nadużywać do określeń funkcyj rozrodczych. W wielu okolicach oprawianie jest równoznaczne z obielaniem. Narazie mamy odłogiem leżącą rozległą krainę terminów i zwrotów przyrodniczo- i techniczno-łowieckich.

— Muszę ci przyznać, że masz trochę racji. Zagłuszyłeś mnie potokiem szczegółów. Niech temi sprawami zajmą się dalej powołani do tego specjaliści i spróbują wyeliminować gołosłowne bezznaczniki, gdyż uznaję, że w prozie łowieckiej musi być naturalność i ścisłość. Choć mi się to wszystko dość pokręciło, niemniej uważam, że o jednem wyrażeniu łowieckiem, pełnem właściwej mocy i treści — zapomniałeś!...

— O jakiem?

— O naszym myśliwskim wzmacniaczu — żubrówce!..

— Masz rację, puść mi więc guzik, Hubertku, — idziemy na karafkę.

— E! — to za dużo, Eustasiu...

— Jakto? Jedna karafka na nas dwóch za dużo?!

— Po rozważeniu tak głębokich problemów i ich szczęśliwem... rozstrzygnięciu, należy się nam gruntowne pokrzepienie i dlatego nas dwóch na jedną karafkę żubrówki za dużo...

— Niech będzie, chodźmy, niedługo już wysiłkiem naszych ofiarnych Prometeuszów łowieckich będziemy mieli ustalony — jeden potoczny język myśliwski.

— Nie przyjacielu — potoczny, a więc wszechstronnie użytkowy (nie dowodny), to może on kiedyś i będzie — całkowicie zaś ustalony — nigdy, gdyż, jako twórcza funkcja intelektu żywego środowiska, musi być zawsze *in statu nascendi*, musi się tworzyć wiecznie, udoskonalać ewolucyjnie — a więc musi się i zmieniać...



Przed wyruszeniem na łowy. Fot. M. Lissowski.

I jeszcze jedno. Ofiarność jednostek nawet wielkie dzieła może czynić, ale język muszą tworzyć wszyscy!

Dr. JAN PODGÓRNY

*) To kwestja czy od gonić, czy od naganiać. To drugie pojęcie jest trafniejsze, bowiem nikt zwierzyny nie „goni", prócz... psów, używanych do polowania. (Przyp. red.).

Z OPOWIADAŃ STAREGO LEŚNIKA

Dziwnie ponury wydawał mi się ten Drużecki młyn, a ile razy przechodziłem koło niego, zawsze przychodziła mi ta sama myśl, że młyn ów kryje jakąś tajemnicę.

Ludzie niechętnie o nim rozmawiali. Młodzi nic powiedzieć nie umieli, a starzy tylko ręką machali i mówili: „Stare dzieje, lepiej nie wspominać".

Młyn nieczynny był od bardzo dawna. Koło wodne leżało obok rozwalonego upustu. Staw, który służył kiedyś za zbiornik wody, dawno został zamieniony na łąkę i sam młyn przerobiony na gajówkę. Z jednej i drugiej strony kotliny znajdowały się dosyć strome zbocza, porośnięte lasem sosnowym.

Włócząc się ciągle po lasach, zaszedłem pewnej lipcowej niedzieli do Drużeckiego młyna.

Stary gajowy Ewan siedział pod rozłożystą lipą, popijał z kamiennego dzbanka piwo i kłęby dymu wypuszczał z drewnianej fajki. Wargi jego poruszały się i widać było, że z kimś niewidzialnym rozmowę jakąś prowadził.

— Dzień dobry, Ewanie! Z kim tak rozmawiacie? — odezwałem się do niego.

— Ee, panie adjunkt — tak sobie sam... Wczoraj mi pan leśniczy powiedział, że w Zarządzie mówili coś o mojej emeryturze, a to mnie tak zmartwiło, że chodzę, jak struty. Czterdzieści lat tu siedzę, mój ojciec dwadzieścia trzy lata tu żył, a teraz ja mam stąd iść?... Nie — panie adjunkt — ja stąd nie pójdę. Emerytury ich nie chcę i stąd nie pójdę.

— Ależ, mój Ewanie — odezwałem się — oni tam w Zarządzie chcą, żebyście sobie na stare lata odpoczęli; myślą, że wam już za ciężko.

— Co?... Mnie za ciężko! Młodego przeskoczę, zresztą jeszcze czuję się na siłach i stąd nie pójdę.

Spojrzałem zdziwiony na starego. Miał 72 lata, lecz olbrzym to był i długa, biała, jak śnieg, broda dziwnie odbijała od czerwonej, opalonej twarzy.

— A może pan adjunkt wypije ze mną szklaneczkę piwa? — spytał stary.

— Dobrze — powiedziałem — ale pogawędzimy... A Ewan opowie mi coś o Drużeckim młynie.

— E, proszę pana, co mam opowiadać — to stare dzieje. Lepiej nie wspominać.

Jednak po długich naleganiach stary Ewan rozpoczął:

— Już temu dawno, bardzo dawno, młyn ten dzierżawił niejaki Dąbrowa. Powodziło mu się bardzo dobrze, a ludzie mówili, że pieniędzy ma wbród. Ale był to dziwny człowiek. Samotnik, małomówny. Młyn prowadził młynarczyk Janek. Lat 30, ryży i podły chłop, ale do Dąbrowy strasznie przywiązany. Często zdarzało się, że ludzie z mieliwem nieraz czekali całą noc, a Dąbrowy ani jego pomocnika przez całą noc nie było. Różnie też ludzie gadali. Jedni, że Dąbrowa trudni się nieczystemi interesami, drudzy — że chodzi do lasów hrabiowskich, razem ze swoim pomocnikiem Jankiem — kłusować.

— Ja wówczas — powiada Ewan — miałem 16 lub 18 lat i pomagałem czasem ojcu, albo go zastępowałem. Strasznie mnie ciągnęło do lasu. To też ani jednej wyprawy na kłusowników nie opuściłem. Pewnego dnia przyszedł do mojego ojca pan leśniczy Jodłowski. Usiadł na tej samej ławce, co my teraz siedzimy. Ojciec stał przed nim.

— Ewanie — powiada pan leśniczy — źle u nas się dzieje. — Dąbrowa kłusuje i żaden z gajowych nie może go uchwycić na gorącym uczynku. Wiecie, Ewanie, dlaczego? Mój Władek zakochał się podobno w Marynce młynarzowej, ona zaś sprytnie dowiaduje się od niego w którą stronę patrole zostały rozesłane i uprzedza swojego ojca.

— Nie mogąc przezwyciężyć ciekawości — podpełzłem do gęstego krzaka bzu i rozmowę pana leśniczego z ojcem dobrze słyszałem. Ojciec mój zrobił się czerwony, jak burak.

— Panie leśniczy, to nieprawda. Znam pana Władysława od maleńkiego, znam go jako praktykanta i teraz jako adjunkta. Nie — proszę pana — to podłe kłamstwo.

— I ja tak myślę — powiada pan leśniczy — ale otrzymałem z Zarządu pismo, w którem naczelny dyrektor pisze, żeby koniecznie młynarza Dąbrowę na kłusownictwie ująć, bo chociaż nie wierzy listom anonimowym, których już kilka otrzymał, lecz jest przekonany, że Dąbrowa nieuchwytny jest tylko z przyczyny Władka.



Na stanowisku (Ołtusz). Fot. J. Hołyński.

— Żeby pioruny zatrzasły podleca, który ten list do Zarządu napisał — wybuchnął mój ojciec.

— Ewanie — rzecze pan leśniczy — dziś idziemy razem. Nikomu ani słowa. Spotkamy się u Czerwonego Krzyża o 1-szej w nocy. Jeżeli dziś Dąbrowa pójdzie, to napewno pójdzie na „Filipową łąkę". Tam zawsze jeleń jest pewny. Więc — o pierwszej.

Pan leśniczy poszedł wolnym krokiem w stronę leśniczówki, ja zaś udałem się do domu, w komorze nabiłem grubym śrutem pojedynkę, którą ojciec pozwalał mi na różne wyprawy brać i postanowiłem iść za nimi na „Filipową łąkę". Rozumowałem, że pan leśniczy pozwoli mi iść razem, jeżeli zobaczy, że jestem już przy „Filipowej łące", a nie, to i tak zdaleka za nimi pójdę.

*

Pan leśniczy Jodłowski oddawna już siedział w Mrokowskiej leśniczówce. Po śmierci żony sam zajął się wychowaniem jedynego syna Władka, a gdy ten skończył szkołę leśną, naczelny dyrektor lasów, szkolny kolega pana Jodłowskiego, przydzielił syna do pomocy staremu ojcu, w charakterze adjunkta. Władek spełniał swoje obowiązki sumiennie. Zakochany w lesie tak, jak i jego ojciec, nie czekał nigdy na rozkazy ojca, lecz starał się zgadnąć wprost jego myśli. To też leśnictwo Mrokowskie, pieszczone przez starego i młodego Jodłowskiego, pan naczelny dyrektor stawiał za przykład innym leśnictwom.

Dziwnem i nieprawdopodobnem wydawało się naczelnemu dyrektorowi, żeby Władek zakochany w córce młynarza mógł w swojem zaślepieniu pomagać kłusownikom w ich niecnem rzemiośle. Napisać jednak do starego kolegi musiał. Niech ten zbada całą sprawę i jeżeli prawda — trudno. Czegoś podobnego tolerować nie można.

*

W leśniczówce przy biurku siedział leśniczy Jodłowski. Przed nim stał syn jego Władek.

— Powiedz mi prawdę. Czy kochasz ty córkę młynarza?

— Kocham, ojcze.

— Czy mówiłeś jej kiedy, gdzie rozsyłam patrole?

— Nigdy bym tego nie zrobił, ojcze.

— Naprawdę nie zdradziłeś przed nią gdzie i kiedy patrole chodzą?

— Ojcze! Czyżbym mógł? Czyżby tak mógł postąpić syn leśnika?

— Wierzę ci. Masz tu, przeczytaj list z Zarządu.

Czytał Władek i łzy płynęły z jego oczu.

— Ojcze, przekonam ich, dowiodę, jak bardzo mylili się i jak straszną krzywdę wyrządzili i mnie i tobie, ojcze. Tak długo chodzić będę za młynarzem, dopóki nie złapię tego zbója na gorącym uczynku.

— Władek, są teraz noce księżycowe, widno, jak w dzień. Idziemy dziś, a tylko gajowego Ewana weźmiemy ze sobą.

Tej samej nocy odegrała się na „Filipowej łące" straszna tragedja. Pięć strzałów padło i tak zlały się, iż powiedziałbyś, że to był strzał jeden.

*

— Panie adjunkt — powiada Ewan — ja skradałem się za nimi aż na „Filipową łąkę". Pan leśniczy z Władkiem udali się w prawo i stanęli za niedużemi świerkami, na skraju lasu, przy łące, ja pełzałem za nimi. Ojciec mój zajął stanowisko może dwieście kroków od nas po lewej stronie.

— Długo nie czekaliśmy. Dąbrowa z młynarczykiem wyszli z przeciwnej strony łąki. Widziałem wyraźnie każdy ruch młynarza, który widocznie dawał wskazówki swojemu kompanowi. Chciałem być jaknajbliżej Władka, bo go bardzo lubiłem i obawiałem się o niego. Strach jakiś i przeczucie czegoś złego ogarnęły mnie.

— Widzę, jakby to dziś było, zbliżających się szybkim krokiem kłusowników do świerków, w których ukryty stał pan leśniczy z Władkiem. Chciałem wykrzyknąć, lecz głosu z gardła wydobyć nie mogłem, a zanim opamiętałem się, słyszę głos pana leśniczego: „Ręce do góry"!

— Obydwaj kłusownicy w oka mgnieniu podnieśli fuzje... Dalej nie czekałem. Strzeliłem do młynarza. W oczach ciemno mi się zrobiło, padłem zemdlony i ojciec nadbiegłszy, długo podobno nade mną pracował, zanim doprowadził mnie do przytomności.

— Pana leśniczego znaleźliśmy już nieżywego. Miał cały nabój w piersiach. Władek skonał na moich rękach. Loftka przeszyła mu gardło. Nie więcej jak o dwadzieścia kroków leżał młynarz i opodal jęczał jego pomocnik.

— Zawieźli go do szpitala, gdzie zeznał, że kłusował z młynarzem oddawna. Ale długo nie pożył. Coś w tydzień czy dwa, już nie pamiętam, życie zakończył.

— A Marynka po pogrzebie ojca zginęła. Znaleźli ją coś trzeciego dnia utopioną w stawie młyńskim. Od tej pory młyn opustoszał.

— Po jakimś czasie zrobili z niego gajówkę i ojciec mój długie lata tu był gajowym. Po śmierci ojca ja otrzymałem tę posadę i czterdzieści lat tu siedzę. Smutne to wspomnienia, pan jest pierwszy, któremu wyspowiadałem się. Niech pan opowie w Zarządzie owym panom, co las tylko na papierze znają, że ja, gajowy Ewan, przez czterdzieści lat ciężkiej i niebezpiecznej pracy, tak ten las pokochałem, że opuścić go nie mogę, w nim skończyć życie i w nim pochowany chcę zostać. Jeżeli zaś postanowili koniecznie mnie z lasu usunąć, pójdę do policji, zeznam, że to ja młynarza Dąbrowę zastrzeliłem. Wolę w kryminale zgnić, niż ten las opuścić.

W niedługim czasie, gajowemu Ewanowi został przydzielony młody gajowy do pomocy i Ewana pozostawiono w jego ukochanym lesie.

Podobno sam pan hrabia, dowiedziawszy się o życzeniu starego gajowego, takie rozporządzenie wydał.

ALOJZY ŻELEŹNIK

STRASZYDŁO

Wobec dość wielkiej monotonji życia obozowego w szpitalu polowym, obsługującym naonczas jeden z odcinków frontu północnego armji rosyjskiej podczas wojny światowej, zabawiali się często lekarze pogawędką o różnych zdarzeniach i przejściach myśliwskich, gdyż tak się złożyło, że dwóch z nich było zapalonymi miłośnikami łowiectwa i szczerymi adeptami św. Huberta, gdy reszta wolała się zabawiać grą hazardową w karty, przeciągającą się zazwyczaj do rana i mącącą sen kolegom, zmuszonym w dymie setek wypalonych papierosów spać pod ścianą tej samej izby, jedynej ich kwatery. Zielono-blade twarze zmęczonych graczy, stosy ogarków, dym snujący się ponad nimi po całej izbie, wygasły samowar i niewyspane twarze ordynansów dopełniały nad ranem ten makabryczny obraz ludzkich namiętności.

Cóż więc dziwnego, że my adepci św. Huberta, woleliśmy od czasu do czasu urządzać wyprawy myśliwskie do bogatego w sarny pobliskiego ostępu, a czasem i zajadać wspaniale przyrządzone i pięknie przybrane combry sarnie u smakosza — kapitana, w pobliskiej jego kwaterze. Ordynans jego, jako niedawny kucharz w warszawskim Bristolu, umiał łechtać podniebienie różnych dekujących się cywilów i półcywilów, a cóż dopiero tych biednych i niewybrednych oficerów na froncie? Jedynym warunkiem takich przyjęć był tylko spirytus, którego należało dostarczyć z apteki szpitalnej do piwnicy pana kapitana. Najmilsze jednak chwile upływały nie na tych pijatykach, lecz przy pogawędkach o tak niedawno jeszcze przeżytych wyprawach myśliwskich, od których tak bezceremonjalnie ich oderwano dla tej strasznej światowej zawieruchy.

Było to rok temu — powiada nasz rozmówca, lekarz ziemski z guberni orłowskiej — przychodzi do mnie Ilja Gawryłycz, mój stary znajomy, gospodarz ze wsi pobliskiej, graniczącej z ogromnemi lasami „daczy" księcia X, i powiada: „Doktorze, ratuj, niedźwiedź strasznie napastuje mi pasiekę, już dwa ule wyjadł; przyjeżdżaj, powiada, kochany i ratuj". Umówiłem się z gospodarzem na trzeci dzień, gdy noc pełni księżycowej będzie już pewna.

A było to w połowie lata, gdy ule nabrzmiewały zapasem pachnącego miodu lipcowego. Wybrałem się tedy po skończonej pracy w swoim wiejskim szpitalu, z takiem wyrachowaniem, by jeszcze przed zapadnięciem nocy stanąć u zagrody mojego przyjaciela, Ilji Gawryłycza, oddalonej odemnie o jakieś 20 wiorst. Gdym przybył, było już ciemno i nie mogłem, a zresztą i nie chciałem oglądać bliżej przez niedźwiedzia uszkodzonych uli. Przekąsiwszy tedy i pogawędziwszy ze starym gospodarzem, zasiadłem ze strzelbą u otwartego naścieżaj okna gościnnej izby, nawprost pasieki, której rzędami ustawione ule widać było dokładnie, chociaż stały jeszcze w cieniu nocy, gdyż księżyc nie oświecił jeszcze tej części sadu.

— Iwanie Lwowiczu — szepce mi do ucha gospodarz — od owego dnia on codzień przychodzi do mojej pasieki, już mi znowu dwa ule nadpsuł, ot widzisz, z tamtego końca — i wskazał mi palcem kierunek.

Pozostałem sam w izbie, siedząc u otwartego okna. Noc była cudna, cicha i ciepła, przepełniona aromatem kwiatów, miodu i moją wyobraźnią. Za zagrodą widać było ścianę lasu, a z poza drzew wyłaniała się zwolna ogromna tarcza księżyca w pełni. Kilka komarów zaczęło uporczywie krążyć u mego nosa i koło ucha, a od czasu do czasu ćma nocna uderzała o szybę otwartego okna, a potem o sufit niskiej izby. Błogi półsen ogarniał mnie po pracowicie przebytym dniu i po trzęskiej a przydługiej jeździe bryką po fatalnej drodze, a zwłaszcza te parę łyków „oczyszczonej" skłaniało do snu i kleiło powieki. Jak długo to trwało — nie wiem, ale nagle się obudziłem.

Wlepiam wzrok przed siebie, w stojący już cały w świetle księżyca sad, i widzę szereg uli i więcej nic. Zaczynam, już zupełnie oprzytomniawszy, lustrować ul po ulu i nagle wzrok mój pada na czarny, ogromny cień, zawieszony nad jednym z dalszych uli. Serce zabiło. Niedźwiedź już nadszedł—tak, to niedźwiedź, tak, chyba tylko niedźwiedź. Tak, najwyraźniej niedźwiedź obejmuje ul z góry i widocznie dobiera się do jego wnętrza. Podniecona uprzednim snem i opowiadaniem gospodarza fantazja każe mi dostrzegać ruchy niedźwiedzia, bo czarna masa zmienia swe położenie, a zapewne i dosłyszeć mi każe jakby mlaskanie. Tak, to z pewnością niedźwiedź. Wszystko wokoło śpi.

Trzeba działać. Przecież przyjechałem tu dla obrony, nietylko dla przyjemności i polowania. Składam się więc powoli do misia, mierzę długo, długo i w nocnej ciszy pada strzał. Patrzę, czarna masa nie poruszyła się, ale widocznie leży dalej na ulu. Strzelać ponownie? Nie, pocóż?



W powrocie z polowania. Fot. Inż. J. Ficki.

Lecz nagła myśl mnie opanowuje: co to jest, może to człowiek? Myśl ta przebiega, jak błyskawica i strach mnie ogarnia. Strzelałem więc może do człowieka, może go zabiłem? Myśli te coraz szybciej się krzyżują. Boże, co za nieszczęście! Co tu robić? Chcę krzyczeć...

Obudzony strzałem gospodarz, wpada do izby. Nie umiem mu wytłomaczyć sytuacji, wskazuję tylko palcem czarną plamę na ulu, pytam, czy tam kto nie chodził?

— Boże, Boże — woła gospodarz — to Miszka, to ten złodziej Miszka! Zabiłeś Miszkę!

Włosy stają mi dęba. Zabiłem człowieka! Pędźmy tam, zobaczymy!

Biegniemy do sadu, do nieszczęsnego ula. Stajemy przed nim, jak wryci: niema tu nikogo. Na daszku ula czernieje jedynie ogromna czarna plama od dawnej spalenizny.

Odetchnąłem. To więc było tylko złudzenie...

Wróciłem do okna. Cień tej czarnej plamy najwyraźniej dotąd rysował postać jakąś, pochyloną nad ulem. Najadłem się strachu. Przyznam się, że wolałbym tysiąc razy nawet walczyć z prawdziwym niedźwiedziem, niż strzelać w tych warunkach do jego rzekomego cienia.

Wkrótce potem powołano mnie do wojska. Nigdy się nie dowiedziałem, czy sprawcą szkód kochanego Ilji Gawryłycza był prawdziwy niedźwiedź, czy też ten złodziej Miszka.

JÓZEF MANTEUFFEL

O JESIENNYM BRZASKU

Tak się raz jakoś wydarzyło, że stosunkowo późną porą, bo o zupełnym zmierzchu, powracałem po całodziennym biurowym trudzie do domu.

Właściwie nie był to zmierzch, a jakaś nieokreślona, czerwono-szara poświata. Wyglądało to tak, jakby na miasto sypał ktoś, umieszczony w górze, całe masy promienistego pyłu, który osiadał na blaszanych dachach, nadając im odcień miedziany.

Szedłem w lekkiem rozmarzeniu, paląc dobrego papierosa. Uświadomiłem sobie, że to już najprawdziwsza jesień, ponieważ na ulicznych kasztanach prawie nie było liści, a pod płaszcz wciskał się surowy chłód. Uświadomiłem sobie tę jesień dopiero teraz. Jest to takie zrozumiałe dla miejskiego człowieka.



Po skończonym miocie. Fot. T. Pacyna.

A pociągała mnie ona szalenie, ta złota pora roku. Zatęskniłem więc nagle za mocnym aromatem zwiędłego liściastego lasu. Rozpalała się zwolna wyobraźnia... Nie przeszkadzał mi gwar i łoskot miejski, bo wędrowałem po peryferjach. Przypominały mi się wciąż te szare, porządnie wyorane pola, okrzaczone zagajnikami, niby siatką ze spłowiałego drutu. Śniły mi się wyrosłe, tęgie zające i stada harmonijnie rozskrzydlonych cietrzewi. W gabinecie, nieopodal biurka, wisiała strzelba. Gdy począłem dotykać jej dłonią i poczułem wabiący zimny dotyk stali — prysły wahania, niby stado kuropatw z pod nosa wyżła...

Okazja nadarzyła się nadspodziewanie szybko; parę dni wolnych, doskonały czas na wyjazd. Zaznaczam, że żona nie chciała mi pokazać kolana, co wedle przepowiedni starych myśliwych — równa się całkowitemu niepowodzeniu.

Naprzekór przepowiedniom — nie wysnułem z tego złych wniosków.

A więc pojechaliśmy. Wsiedliśmy do pierwszego nocnego pociągu i, ulokowawszy strzelby na półkach, oddaliśmy się gadaninie. Nie była ona zresztą czcza, bo istniał temat ważny, obrabiany na wszystkie strony. Zresztą Wacław uchodził zawsze za niezłego kolegę i za człowieka, obdarzonego dalekowidzącym wzrokiem. Mokra prowizja, najpewniejsza asekuracja przeciw chłodom nocnym, ujrzała bardzo niedługo płomyk lampki gazowej i żółte klepki wagonu...

*

— A ja go, panie bratku, na muchę... Zakręcił się cholera, jakby mu nasypał pieprzu, ale idzie... Przed samemi krzakami fiknął jeszcze jednego kozła... Cóż, kiedy na trzech łapach, a polazł, świnia!...

Trunek zaćmił oczy współlokatora P. K. P., ale mimo to wciąż trwał w nich pewien mądry połysk, który był niezbitym dowodem tego, że pan Wacław Godziemba nietylko wódką się upił, ale czuł już posmak leśnego, jakże upojnego wina...

*

Suchą, piaszczystą drogą dobrnęliśmy do chaty starego chłopa Tytusa Tyszkiewicza, odwiecznego mieszkańca leśnego osiedla. Ile on mógł mieć lat, ten chłop? Majaczył coś niewyraźnie na ten temat. Obrósł już mchem starości, takim samym, jaki okrywa krzepkie dęby — to znaczy srebrno-siwym. Mieliśmy go w nieustającej estymie, która potęgowała się z wiekiem. Miał szczególny dar urządzania dobrych polowań na kilka strzelb. Zresztą nie był to dar, tylko dziwna umiejętność, oparta na doskonałej obserwacji zwierzyny. Ponadto orjentował się w terenie znakomicie. Okolica naogół była lesista, mimo, iż nie brakło tam błot. W swoim czasie zarejestrowaliśmy tę miejscowość, a piecza nad nią powierzona została staremu wydze. Nie robił tego poleski chłop — bezinteresownie.

Miał w dodatku żonę, która umiała wróżyć z naszych dłoni stałe powodzenie łowieckich wypraw, a to wystarczyło do zjednania jej naszej sympatji... I miał jeszcze Tytus Tyszkiewicz gończego psa — bezcenny skarb — noszącego na podpalanej skórze historje potyczek leśnych z najgorszymi zbójcami kniei...

O pierwszym brzasku zbudził nas Tytus i poprosił na herbatę. W izbie było już kilkunastu ludzi przyodzianych w kożuszki, grube lniane świty i łapcie. Wędzili się w oparach machorki, rozprawiając na bliskie nam tematy. Ustalali miejsca pierwszych miotów. Każdy z nich widział niedawno jakieś lepsze sztuki zwierzyny i tam chciał prowadzić. Zdania tych ludzi krzyżowały się nie jak szable, lecz jak jakieś grube, ciężkie pały. Przepotężny brodacz, mianowany Hrehorem, stał naprzeciwko Tytusa i utkwiwszy w nim trochę ukośne oczy, uderzał go wskazującym palcem w pierś, skandując wymawiane zdania.

— Ty Tit pramo durak!... Na, „Ostapowym Hrudu" nikagda lisa nie uwidisz, ani zajca nie bude... jaki czort w tuju wadieu palizie!...

Nasz gospodarz nie reagował. Kiwał z wybaczającym uśmiechem głową i pilnie, usłużnie nalewał „czajku". Gwar w chałupie rósł, proporcjonalnie do wzrastania gęstości przepony powietrznej, sinej od dymu.

Obiecałem chłopom nieco lepsze niż zwykle wynagrodzenie, a Wacław dał im po kieliszku rumu. Mlaskali językami, oblizując wargi, spieczone od złego tytoniu.

Czas już jednak był wielki. należało wyruszać. Powiedział to jakiś zawiędły człeczyna, antyteza Hrehora. Na twarzy i czole miał masę brózd, a nos wygięty dziwacznie. Porwali się wszyscy gromadnie. Żona Tytusa wróżyła dobry łów, on sam nie wróżył niczego. Starość i knieja nauczyły go tej wielkiej filozofji.

Okienka chałupki, mimo gęstego kurzu, nasiąkały już tonami połyskliwej miedzi, przyćmionej zielonym nalotem. Zauważyłem, że ten Tytus żył, jak król. Bóg był dla niego dobry i pomijając higjenę, codzień o świcie zmieniał mu szyby, które druzgotał powodzią ostrego światła zachód...

Naprzód opasaliśmy zagajnik brzozowy prymitywnym i szeroko rozciągniętym kociołkiem. Chcieliśmy się nieco rozruszać, wypróbować broń i oko. A zwierzyny było sporo. Wyciągnęliśmy stąd doskonałe, obiecujące wnioski na te dni. Wacław strzelił do zająca i zmiótł go z powierzchni oszronionej, zwiędłej trawy. Był to dobry strzał.

Tytus, uzbrojony w zardzewiałą pojedynkę strzelał do trzech, ze średnim zresztą skutkiem. Nie w tem mieściły się jednak wartości starego kłusownika. Wyszły one na jaw wtenczas, gdy w jaknajwiększej ciszy dotarliśmy po nasypie rowu, zwalczając po drodze wielką gęstwinę, do sedna małego błota, zwanego „Zielonym mchem". Stary postawił mnie przy wąskiej „trybce", przecinającej dużą, zarosłą połać dzikiej łozy i znikł bezszelestnie.

W zimnem, rzeźwem powietrzu czuć było większą zwierzynę. Właśnie wschodziło słońce, zapalając na lufach smużki ognia i drgających, fioletowych iskier.

Wczułem się w zupełną głuszę i zapatrzyłem w czuby pozbawionych liści olszyn. Ich ostry szkic pruł śmiało błękitną przestrzeń nieba. Nigdy nie byłem i nie miałem skłonności do tytułu marzyciela, o ile wogóle myśliwy może być nie-marzycielem. Chodzi mi jednak o kategorję ludzi, którym się wydaje, że nie umieją myśleć na tematy oderwane. Do takich właśnie i ja zaliczałem się, we własnem samopoczuciu.

Ale gdy stanąłem w krasie ranka, drżąc od oczekiwania przygody, zrozumiałem, że jest inaczej.

To był posmak wina, rozsiany w wyiskrzonem słońcu, wina, o którem wspominał Ejsmond.

Stałem, jak pijak, wobec otwartego i bliskiego ust puharu... Zkolei przyszły myśli trzeźwiejsze. Oceniłem Tytusa raz jeszcze. Był wspaniały w swojej gałęzi sportu. Na prawo i na lewo miałem szeroki nasyp rowu, przed sobą wizę wąskiej tryby. Byłem więc panem położenia. Wszelka zwierzyna z haszczy miała i musiała pójść jedną z tych prostych, wygodnych dróg. Wacław stał zgoła w innem miejscu, na drugim przesmyku, o 300 kroków dalej.

Starałem się usłyszeć odgłosy naganki. Upłynęło już około dwudziestu minut od odejścia Tyszkiewicza. Gwar nikłej falangi ludzkiej nie potrzebował być wielki, ale musiał być... Zresztą niedługo ujrzałem w wizie „tryby" oddaloną sylwetkę człowieka i ułowiłem uchem pierwsze echa. Tytus prowadził ludzi cicho, nie miał więc na myśli zajęcy. A więc coś większego!...

Dłonie wpiły się w drewno strzelby, oczy lustrowały krzaki chciwie i czujnie. Stąd musiała wyprysnąć morda lisa o złotych ślepiach, lub poroża królewskiego, hodowanego na wonnych łączkach leśnych, kozła.

Nagle buchnął strzał i szarpnął nerwami, jak wiatr pajęczyną, zawieszoną w żółtych badylach rżyska. Na „trybkę" wypełzł spokojnie zając i kicał ku mnie. Sekunda wahania... instynkt szepce, że nie warto strzelać, zające jeszcze będą. Czuło się poprostu w powietrzu większą stawkę.

Dobroduszny szarak strzelił nagle w bok. Nie dziw, natknął się prawie na lśniące lufy strzelby... Z odcieniem żalu powiodłem za nim wzrokiem. Pojąć mnie łatwo — pierwszy zając sezonu.

Stałem wciąż zgarbiony, wpatrzony w gęstwę. W pewnej chwili uczułem, że tuż koło mnie jest ktoś inny. Powoli zwróciłem oczy w lewo...

Przez szeroki, głęboki rów przeprawiał się wilk, wielki, cudowny zwierz. Cichusieńko, z gracją starej panny przenosił swe kosztowne, puszyste futro na drugi brzeg. W połowie rowu począł płynąć, wynosząc śpiczastą mordę ponad ciemną wodę.

Nie pojąłem śmieszności sytuacji, nie odczułem rozpaczliwego i komicznego zarazem gestu wilczego ogona, sterczącego ponad tonią, niby sztandar dumy narodowej dzikiego plemienia, ale pojąłem i odczułem tej sytuacji dogodność. Muszka strzelby zastała go na brzegu, prychającego ze wstrętem, nie odczuwającego już strachu przed zaborczą falangą Tytusa...

Widziałem, jak oto nagle zadrżał całem ciałem i ukląknął na oba kolana. Gest jego wykręconej bólem mordy daleki był od niedawnego grymasu wstrętu. Konał, jak bohater, bez krzyku. Krew strużkami ściekała do wody, barwiąc ją na brudny bronz. Gdzieś od wewnątrz targnęła mną radość, jakaś ogromna i przez wielu niepojęta. Próżne były wysiłki opanowania tych fal krwi, które płynęły od serca, niby rozszemrane, czerwone morze. Byłem pijany. Bogi leśne podały mi szklanicę z tym nektarem, na który niema ceny ani na świecie, ani w niebie... I nawet dobrze jest, że nie wszyscy wiedzą o jego istnieniu.



Naganka na linji. Fot. M. Lissowski.

Boję się jednego. Wiem, że każdy ma w sercu strunę, leśną strunę. I jeżeli uderzy w nią choć jedna noc wiosenna, melodja ta już nie przestanie trwać. I boję się, że wtedy stopy bractwa św. Huberta dzikie ścieżki leśne przemienią w szerokie, zapylone drogi, a huk ich strzelb wypłoszy z ostępów Fauna... Oj nie.. ja się zawsze cudacznie mylę... huk ich strzelb wypłoszy faunę...

*

W tym samym miocie Wacław zabił lisa. Sytuacja w jakiej strzelał nie była tak ciekawa, ponieważ zwierzak gnany był strachem i wpadł mu poprostu pod nogi... pod lufy strzelby...

A potem poszliśmy dalej...

Z prawdziwą ofiarnością brnęliśmy po szeroko zalanych pobrzeżach błot, przetrząsaliśmy krze, opieraliśmy zmęczone plecy o brunatne pnie sosnowe wysokich lasów. Huk naszych strzelb nie był częsty, ale ponieważ rzadki, miał charakter złowrogi. Wilki, niby zbójcy o złotych źrenicach, przysiadły ze strachu na zadach i pomykały... djabły kniei...

Ich serca były, jak stare, rozklekotane dzwony...

RAJMUND MAZURKIEWICZ

CHOROBY ZWIERZOSTANU W LASACH PSZCZYŃSKICH

Racjonalne zabiegi hodowlane, spoczywające w rękach doświadczonych hodowców leśników, uodporniły zwierzynę do pewnego stopnia przed infekcjami i różnemi chorobami. Nie można mówić, by chorób wogóle nie było, lecz należyte pielęgnowanie przyczyniło się, że pojawiającą się chorobę w pierwszych początkach spostrzeżono, natychmiast ją rozpoznano, a zastosowanie właściwych środków zapobiegawczych ograniczyło infekcję do minimum. Najwięcej przyczyniła się do utrzymania zdrowotności zwierzostanu stała i rzeczowa obserwacja poszczególnych gatunków zwierzyny w łowiskach przez zamiłowanych i doświadczonych hodowców leśników, których uwagi nie uchodziły sztuki cherlawe i chorujące.



Leśna droga. Fot. J. Moszczyński.

Aczkolwiek stosowano różne środki zapobiegawcze przeciw chorobom, to jednak zdawano sobie sprawę z tego, że chorych sztuk nie można indywidualnie poddać leczeniu i jedynie skutecznym zabiegiem jest i pozostanie odstrzał przez doświadczonego hodowcę i zamiłowanego myśliwego. Nie wystarczy być myśliwym, by w pewnej porze roku zainteresować się łowiskiem z okazji polowania, lecz dla łowiska należy poświęcić każdy wolny czas przez cały rok, czyli zżyć się ze zwierzyną do tego stopnia, że na pierwszy rzut oka rozpozna się sztukę chorującą i przy dłuższej obserwacji na odległość rozpozna się w przybliżeniu właściwe powody.

W łowisku pszczyńskiem zanotowano najpoważniejsze choroby u dzików, a mianowicie w roku 1914, kiedy padło około 70 sztuk dzików w różnym wieku na pomór. Od tego czasu postanowiono ograniczyć hodowlę dzików do około 40 sztuk w ogrodzeniu.

Stosunkowo dobrą zdrowotność wykazały jelenie, albowiem prócz gza *(Cephenomya)*, którego zwalczano wypróbowanemi środkami i nie dopuszczono do silniejszego opanowania zwierzyny, spotykano pojedyncze wypadki pasożyta motylicy *(Distonum hepaticum)* i w ostatnich latach pasożytującą w płucach i organach oddechowych zarazę płucną strongylozę, która przeniosła się z sarn, opadniętych stosunkowo silnie przez te nicienie. Endemiczna pareza występuje bardzo rzadko i nie doszła nigdy do poważniejszych rozmiarów, co wskazuje na zdrowotność jeleni.

Sarny, jak już wyżej zaznaczyłem, są częściowo silnie opadnięte przez nicienie *(Strongylus micrurus)* i infekcję tę zauważyłem już w roku 1934 z okazji przejęcia lasów pszczyńskich przez Zarząd przymusowy. Zarazę tę śledzę od tego czasu i jako Łowczy Pow. P. Z. Ł. poczyniłem kroki zapobiegawcze w porozumieniu ze Śląskim Urzędem Wojewódzkiem i Weterynarzem Powiatowym w Pszczynie.

Przed mniej więcej 20-tu laty występowała u sarn dosyć poważnie motylica *(Distonum hepaticum)* i przeszła także na daniele. Najpoważniejsze szkody wyrządził ten pasożyt znów w stanie sarn, lecz są to jednakże dziś już tylko wypadki bardzo rzadkie. Z czasem osuszono bowiem podmokłe łąki, przez co nie dano możności rozwoju kijaneczkom i ślimakom, które w znany sposób współdziałają w rozwoju motylicy. Również zwrócono baczną uwagę przy przeznaczaniu siana na karmę dla zwierzyny, by nie pochodziło ono z łąk podmokłych, albowiem na takich właśnie łąkach rozwija się motylica i siano z tych łąk przez kilka miesięcy zawiera zdolny do dalszego rozwoju motylicy zarazek.

Z wymienionych wyżej pasożytów nie zauważono dotychczas żadnego u jeleni japońskich Siki i odnosi się wrażenie, jakoby te były najodporniejsze na choroby.

U pozostałej zwierzyny drobnej nie zauważono chorób o poważnych i długotrwałych następstwach. Silna zima natomiast w roku 1929 zredukowała bardzo mocno stan zwierzyny drobnej, a najbardziej ucierpiały zające. Przy skutecznej ochronie i pielęgnacji jednakże już w dwóch latach następnych stan podniósł się do normalnego poziomu, co zaobserwować można z zamieszczonego w Nr. 29 „Łowca Polskiego" z r. b. wykazu dokonanego odstrzału.

Resumując te krótkie spostrzeżenia, wyjęte z kroniki ogólnego łowiectwa pszczyńskiego, oraz dane i ścisłe cyfry, poniekąd z trudem i dużym nakładem pracy wyłowione, dochodzimy do stwierdzenia nad wyraz jasnego poglądu, że łatwo jest zwierzostan oraz jego wartość hodowlaną obniżyć przez mało przemyślane przystąpienie do problemu, w którym tkwi długoletnia praca w kierunku doświadczalnym i naukowym — spowodować zastój i obniżyć poziom w ogólności, lecz trudniej jest naprawić złe pociągnięcie, lub klęskę, poniesioną przez wpływ żywiołowy i t. p. we wzorowo prowadzonem łowisku przez szereg lat.

Tu poruszyć mi wypada postawiony na bardzo wysokim poziomie dział hodowlany w pawilonie niemieckim na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie w roku 1937, gdzie ten właśnie problem przedstawiony w sposób poglądowy w kierunku doświadczalnym i naukowym, przy pomocy pouczających kolekcyj, wywołał ogólne zainteresowanie, a w szczególności wśród myśliwych hodowców. Nad omawianem zagadnieniem pracowano na G. Śląsku już także od szeregu lat w ośrodkach łowiecko-hodowlanych, które są obecnie w posiadaniu przedmiotowego materjału, lecz stanowi on ogólnie własność prywatną pewnych leśników-hodowców, którzy od szeregu lat tem zagadnieniem się interesowali.

Mimowoli przypomina mi się szczegół z czasów mojej pracy w hodowli zwierzyńcowej jeleni w roku

1916 w administracji lasów Księcia Donnersmarka na G. Śląsku, gdzie, jako młody adept, lecz interesujący się żywo już wówczas hodowlą jeleni, obserwowałem pewien objaw u jeleni od 1913 roku począwszy, który po 3-letniem doświadczeniu, czyli w roku 1916, dał mi niezbity dowód w określaniu młodych sztuk o wysokiej wartości hodowlanej, gdy zaś ten sam właśnie objaw w oczach starszych hodowców daną sztukę dyskwalifikował i bezwarunkowo spychano ją do klasy selekcyjnej. Po poruszeniu tego zagadnienia natrafiłem na groźnego przeciwnika w osobie ówczesnego Dyrektora Lasów i dopiero po przekonaniu o trafności moich spostrzeżeń mego bezpośredniego przełożonego nadleśniczego Faudego i przy jego silnem poparciu wywołałem bliższe zainteresowanie się poruszoną sprawą, poczem w myśl moich wyników doświadczalnych zmieniono program odstrzałów selekcyjnych od roku 1917 począwszy.

Takie i podobne kwestje były szczegółowo omawiane w dziale niemieckim na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie, lecz ustalone wycieczki z Polski do Berlina na zbyt krótkie okresy nie dały zainteresowanym myśliwym-hodowcom możności zapoznać się szczegółowo z bogatą i obszerną pracą, przedstawioną w sposób naukowy i bardzo zajmujący. Bogaty dział hodowlany mógł zainteresować najwięcej G. Śląsk, gdzie istniejące trzy hodowle zwierzyńcowe mogły ten dział z korzyścią dla gospodarstwa łowieckiego zużytkować.

Na podstawie mojej 25-letniej pracy w leśnictwie na G. Śląsku, w tem 8 lat w hodowli zwierzyńcowej jeleni w administracji lasów ks. Donnersmarka i obecnie 4 lata w hodowli zwierzyńcowej w lasach pszczyńskich, uważam się za upoważnionego, by o hodowlach śląskich wydać opinję. Pracując przez dłuższy czas w dwóch i poznawszy trzecią hodowlę także w drobnych szczegółach, stwierdzam, że hodowla pszczyńska stoi na najwyższym poziomie i długoletnia intensywna praca pozostawiła swe właściwe skutki. Dowodem tego są wyniki, jak np. w r. 1937 ubito 2 jelenie, których wieńce w pomiarze systemem Nadlera wykazały 219 i 220 punktów, 4 jelenie od 198 do 208 punktów; wieńce w latach poprzednich były o podobnej sile. Do osiągnięcia tych wyników dojść można jedynie przez programowy odstrzał sztuk dojrzałych i ścisłą ochronę jeleni silniejszych, które zdradzają inklinację do rozwinięcia wieńców kapitalnych w wieku pełnej dojrzałości.

Zdobycze pszczyńskie nie były odpowiednio reprezentowane na Międzyn. Wystawie Łow. w Berlinie, albowiem z kapitalnych żaden nie został wystawiony. Dlatego też nie docenia się w chwili obecnej hodowli pszczyńskiej, którą istotnie w jeleniach nizinnych wysunąłbym na pierwsze miejsce w Polsce, albowiem jelenie kapitalne nie należą do rzadkości, lecz stanowią zdobycze po kilka sztuk corocznie. Hodowli pszczyńskiej należy zatem nadal umożliwić dalszy rozrost, dostosowany do obecnego postępu w dziedzinie hodowli i aby zdobycze doświadczalne oraz dorobek długoletniej pracy mogły się przyczynić do ukształtowania iaknajlepszej przyszłości.

STANISŁAW CENKIER
Nadleśniczy



Łania przepływająca jezioro.

Sprawozdanie z drugich jesiennych prób polowych dla wyżłów użytkowych

urządzonych staraniem Sekcji Kynologicznej Oddziału Krakowskiego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego oraz Towarzystw Łowieckich: Św. Huberta, Diana, Jastrząb i Orzeł, w dniu 11 września 1938 r. w Zielonkach pod Krakowem.

Próby podzielono na dwie grupy: I. wyżłów ras kontynentalnych i II. wyżłów ras angielskich.

Do I grupy zgłoszono:

1) **Hero z Boreczka**, szorstkowłosy wyżeł niemiecki, urodzony 26.III.1936 r. po: As z Rogów — Magda v. d. Sonnenburg. Właściciel, hodowca, treser i mener: Piotr Kaaz.
2) **Tarzan z Boreczka**, szorstkowłosy wyżeł niemiecki, ur. 5.VII.1937 r. po: As z Rogów — Magda v. d. Sonnenburg. Właściciel, hodowca, treser i mener: Piotr Kaaz.
3) **Ossa**, szorstkowłosa suka niemiecka, ur. 26.V.1937 r. po: Iwan z nad Czarnego Jeziora — Leda-Mira. Właściciel, treser i mener: Maciej Przychocki. Hodowca: A. Gaponow.

Do II grupy zgłoszono:

1) **Spelndor Irma**, suka pointer bronzowa, ur. 5.VIII.1936 r. po: Irokez — Splendor Malwa. Właściciel: T. Marchlewski. Hodowca: A. Brudnicki. Układał: H. Zabłocki i właściciel. Prowadzi: M. Józefczyk.
2) **Marbiel Gryff**, pointer biały z czarnem, ur. 20.XII.1932 r. po: Janko — Blackfield Edith. Właściciel: J. Kieffer. Hodowca: M. Bielawski. Treser i mener: J. Dziekanowski.
3) **Kujavia Glorious Blonde (Hetka)**. Suka pointer, biała w bronzowe łaty, ur. 23.III.1936 r. po: Harry — Bolmil Fit. Właściciel: Cz. Karwiński. Hodowca, treser i mener: Teodor Marchlewski.
4) **Argo Emir (Mir)**, pies, setter angielski tricolor, ur. 16.VI. 1937 r. po: Wuka Ares — Argo Miła. Właściciel, treser i mener: J. Lauer. Hodowca: W. Góra.
5) **Egnal Libia**, suka pointer biała z bronzowem, ur. 21.II. 1937 r. po: Irokez — Bajka. Właściciel i hodowca: J. Lange. Treser i mener: J. Dziekanowski.

Na start nie stawił się Argo Emir.

Próby rozpoczęto o godz. 9 min. 44 przy fatalnej pogodzie, stopniowo pogarszającej się aż do ulewnego deszczu, na skutek czego zupełnie nie można było znaleźć kuropatw. Po przeszło godzinnej pracy pierwszego psa bez wyniku, trzeba było próby przerwać do godziny 13 min. 50, poczem w lekko mżącym deszczu przystąpiono do prób pointerów w celu łatwiejszego odnalezienia kur. Pracowano przy północno-zachod-

nim, silnym, chwilami porywistym, chłodnym wietrze. Warunki pracy dobre, kur mało.

Pierwsza poszła o godz. 13 min. 50 S p l e n d o r I r m a. Pogoniła trzeciego napotkanego zająca, za co została zdjęta.

Drugi M a r b i e l G r y f f rozpoczął o godz. 13 min. 59, krótko przekładając, następnie się rozchodził. Przyczyną tego było otwarcie się rany na udzie, zszytej przed kilkoma dniami. Dał trzy piękne roboty bez błędu, otrzymując I miejsce.

Trzecia idzie H e t k a. Elegancka, stylowa suczka, elestyczna w ruchu, z dużą pasją, przekłada dobrze, łeb niesie prawidłowo. Wystawia w peluszce stado kur, po strzale spokojna. Odnalazła postrzeloną kurę i czysto zaaportowała. Następnie wystawiła w kartoflach drugi raz kury; po chybionych strzałach zupełnie spokojna.



Jest o czem myśleć... Fot. J. Bończa-Markowski.

Czwarta poszła L i b i a. Przekłada narazie krótko i ciężkawo, następnie się rozchodziła i nawet próbowała wyjść z rąk menera. Początkowo wystawia daleko zająca, następnie trafia na kury, z których jedna została zbarczona i wyciekła w pas kartofli. Ponieważ dalej ściągała, odwołano ją, wzięto na smycz i podprowadzono do miejsca, gdzie przeciekła kura. Suczka odrazu na smyczy zaznaczyła miejsce; spuszczona ze smyczy odrazu poprowadziła śladami. Po przejściu około 100 kroków zgubiła, przekładała dalej; cofnięta, odnalazła i zaaportowała.

Następnie L i b i a została puszczona w parze z poprzedniczką w celu rozgrywki. Początkowo miała przewagę H e t k a, pozostając cały czas w ręku menera, bijąc konkurentkę elegancją i ruchem, lecz po kilku spotkaniach z kurami uległa przewadze inicjatywy, umiejętności znajdywania i większej sile wiatru L i b i i. Na skutek tego L i b i a otrzymuje II miejsce, H e t k a zaś trzecie.

Na tem zakończono próby pointerów.

W klasie wyżłów niemieckich poszedł pierwszy H e r o. Wykazał dość szerokie chody przy niedokładnem przekładaniu, wystawił na bardzo krótką odległość jedną kurę; po strzale spokojny, zaaportował niezbyt czysto — gniecie. Drugą kurę wystawił również krótko, wyciekającą wyprowadził niedokładnie. Cały czas w ręku menera. Wskutek słabego wiatru otrzymuje trzecie miejsce.

Następnie puszczona O s s a wykazała zupełny brak chodów i chęci do pracy. Po kilkudziesięciu metrach pogoniła zająca i została zdjęta

T a r z a n z B o r e c z k a wykazał niezłe chody i posłuszeństwo, przy mało umiejętnem przekładaniu. Przez dłuższy czas nie znajduje kur. Prowadzony na wyciekające z kartofli kury, nie wystawił początkowo jednej, nie wietrząc następnie dwóch, z których jedną zabito, a drugą zbarczono. Zaprowadzony na miejsce zbarczonej kury, nie potrafił nawet zaznaczyć miejsca spadku, ani następnie odnaleźć. Zabitą na otwartem wyszukał z trudem, wykazując brak wiatru. Bez miejsca.

Drugie próby krakowskie wykazały znaczny postęp w stosunku do poprzednich pod względem jakości i prowadzenia psów. Zainteresowanie było duże, jednak ulewny deszcz odstraszył mniej wytrzymałą publiczność. Pozostała grupa kilkunastu entuzjastów i jednej entuzjastki wytworzyła podczas herbaty i rozdania nagród ciepłą i bardzo miłą atmosferę. Podkreślić należy zainteresowanie i przychylne ustosunkowanie się miejscowej ludności, władz gminnych i policji państwowej.

B. BIELAWSKI, J. Z. ROBEL, K. WARZYCKI.



Glückliche Tage — hr. E. Silva Tarouca, Berlin 1938, wyd Paul Parey, cena 6.50 R.M.

Ukazujące się dziś w 3-iem wydaniu (pierwsze ukazało się w 1923 r.) dzieło słynnego austrjackiego myśliwego i hodowcy, hr. E. Silva Tarouca, stanowi jedną z tych klasycznych książek myśliwskich, których wartość nie przemija z latami. Zawierając wspomnienia łowieckie z okresu 50 lat życia bujnego, wyposażonego, dzięki wysokiemu stanowisku autora i dużej fortunie, w warunki, zapewniające możność zadośćuczynienia wszelkim zachciankom zapalonego myśliwego, książka hr. Silva Tarouca daje dokładny obraz łowiectwa środkowo-europejskiego w ostatniem półwieczu.

Traktując z równem umiłowaniem wszystkie odmiany polowania, autor poświęca osobne rozdziały polowania na drobną zwierzynę, na głuszce i cietrzewie, na kozły, na kozice, wreszcie na jelenie, którym hr. Silva Tarouca poświęca równo połowę książki, bo 120 stron na 240 całości.

Jako autor znanej u nas i cenionej książki „Hodowca a myśliwy", hr. Silva Tarouca nie ogranicza się do wspomnień czysto myśliwskich, ale uzupełnia je uwagami, dotyczącemi zarówno hodowli zwierzyny, jak i organizacji łowisk i polowań, a opartem i na długoletniej praktyce osobistej. Stąd też wspomnienia z przeżyć myśliwskich autora nabierają specjalnej wartości, bo ukazują wyniki polowań w świetle fachowej krytyki hodowcy.

A skala wspomnień jest olbrzymia: od wypraw z flowerem na wróble, a później z gajowym na kury, poprzez reprezentacyjne polowania dworu cesarskiego z rozkładem po 3—4 tysiące sztuk zwierzyny, do samotnych wycieczek na ośnieżone szczyty alpejskie za kozicami, lub na rykowisko jeleni w Górach Olbrzymich, ciągnęła autora nieprzeparta tęsknota do coraz nowych przeżyć myśliwskich i do obcowania z przepiękną w swej zmiennej krasie przyrodą. Jako bliski sąsiad ziemi naszej, poznał hr. Silva Tarouca również czar polowań na jelenie w Karpatach Wschodnich, na łosie i dziki w Wileńszczyźnie na niedźwiedzi, nad Berezyną, poświęcając swym polskim znajomym i kolegom myśliwskim serdeczne słowa wdzięcznej pamięci.

J. G.

*

Jedna z najruchliwszych firm wydawniczych, J. Przeworskiego, wydała nową pracę G r e y O w l 'a p. t. *„Ludzie z ostatniej granicy"*.

Grey Owl — nazwisko dziś znane już w całej Polsce. Kiedy

rok temu pisałem o jego pierwszej pracy Szara Sowa znany był tylko wśród nielicznej elity czytelników, reszta, cała plejada abonentów czytelń, nie wiedziała nawet o jego istnieniu. „Pielgrzymi puszczy", pierwsza praca Grey Owl'a w tłomaczeniu polskiem zrobiła Szarej Sowie reklamę taką, że niepotrzebne były recenzje, przychylne krytyki i t. d. W czasie mych licznych wówczas wędrówek po całym kraju, stykałem się z ludźmi wszystkich sfer i różnych zainteresowań i z radością stwierdziłem, że nie było człowieka, na któregoby prace Grey Owl'a nie wywarły mniejszego lub większego wrażenia. „Czarowny Indjanin" — jak go nazwałem, mówi prosto, trafia w serce, cóż więc dziwnego, że jego prace wywierają głębsze wrażenie.

„Pielgrzymi puszczy" — było pracą doskonałą, „Sejdżio i jej bobry" — nieco słabszą, ale również dobrą, „Ludzie z ostatniej granicy" — wprost wspaniałą. Gdybym nie znał czwartej jego pracy (dotąd nie przetłomaczonej), mógłbym śmiało rzec, że jest to jego najlepsze dzieło.

Czem jest praca p. t. „Ludzie z ostatniej granicy"? Powieścią? — nie; reportażem? — nie; pracą naukową? — też nie. Więc czem?

Jest ona podręcznikiem psychologji łowieckiej i ochrony przyrody. Grey Owl jest wychowawcą, i to wychowawcą w najlepszem tego słowa znaczeniu.

Stosunek Grey Owl'a do łowiectwa jest najzupełniej pozytywny. Świadczą o tem następujące słowa: „...Bez mięsa człowiek byłby podczas atakowania groźnych mocy wielkiej białej ciszy o wiele słabszy; głównym posiłkiem, główną pomocą w tym ataku jest mięso gotowane, smażone, suszone lub poprostu wędzone w dymie".

„Nie oznacza to bynajmniej konieczności bezmyślnego wyrzynania łosi, jeleni i innych zwierząt, dostarczających smacznego mięsa. Ochrona zwierzyny jest przestrzegana u nas (Indjan — przyp. recenzenta) bardzo surowo i myśliwiec, który wyniesie z puszczy przepisową liczbę trofeów, pozostawiając w lesie kupę niepotrzebnie zabitej zwierzyny, uważany jest za zbrodniarza". „...Jeszcze dzisiaj zwierzostan naogół jest taki, że myśliwiec potrafi sobie zawsze znaleźć mięso, a jeżeli odstrzał będzie rozsądny, to zwierzyny będzie nawet przybywało, mimo polujących na nią traperów".

W tych kilku zdaniach mieści się podejście Grey Owl'a do zagadnienia łowiectwa. Przecież wyraźnie mówi, że można polować, choćby tylko dla zdobycia mięsa, potrzebnego bezwzględnie do życia na dalekiej północy, ale polować trzeba oględnie. Nawet używa, dobiera specjalnie wyrażenia. Łowy, polowanie, to określenie ilustrujące prawdziwe polowanie, zaś bezmyślne mordowanie olbrzymiej masy zwierzyny — nazywa „wyrzynaniem".

Grey Owl jest typowym przykładem, że można połączyć w sobie pojęcie prawidłowego łowiectwa z ideologją postulatów ochrony przyrody.

Wielu myśliwych, którzy swego czasu dużo polowali, potem, „na starość" przestali polować. Patrzyli jednak dalej z wielką miłością na przyrodę i bynajmniej nie potępiali łowiectwa. Jako przykład, weźmy choćby świetnego malarza Juljana Fałata. Przecież na wiele lat przed śmiercią już nie polował, a który z nas myśliwych powie, że Fałat zdradził nasze grono?

U każdego człowieka raz w życiu przyjdzie taka chwila, że wszystko się zmienia, przewraca do góry nogami. To samo może stać się i z uprawianiem łowiectwa. Wielu jest takich zapalonych myśliwych, którzy żadnej myśliwskiej okazji nie przepuszczą, a na rogacze nie polują, bo im żal kozła, bo „ładny". Nie śmiejmy się z nich, bo oni są ponad nami, oni właśnie, ci przebierający w zwierzynie, są elitą myśliwską.

Grey Owl do nich należy. On widział w łowiectwie możność nawiązania bezpośredniego kontaktu z przyrodą, a osiągnąwszy go, zrozumiał, że zabicie zwierza jest niezawsze koniecznym epilogiem łowów. Zrozumiał, że łowiectwo to podpatrywanie tajemnic życia zwierzyny, a same łowy — to szlachetne resztki tkwiącego w nas atawizmu. Grey Owl wreszcie daje wyraz swej tęsknocie za czemś lepszem, co płynie właśnie z bezpośredniego kontaktu z przyrodą.

Szara Sowa tak pisze:

„...Myśli te wydać się mogą dziwne u trapera, człowieka żyjącego z zabijania. Wiedzcie jednak, że człowiek, który żyje samotnie w Sanktuarjum Natury, uczy się głęboko myśleć o rzeczach, nie wchodzących w zakres rozmyślań ludzi zwykłych. Ciągłe zabijanie nie daje wkońcu uczucia tryumfu, lecz wprost przeciwnie — upokorzenie."

Jakież bogactwo myśli mieści się w tem zdaniu, jakaż ogromna głębia uczuć najsubtelniejszych! Tak, jestem osobiście święcie przekonany, zresztą sprawdziłem to wielokrotnie na sobie, że, obcując samotnie z pierwotną, dziką, przecudną naturą, człowiek myśli o rzeczach najgłębszych, o rzeczach, o których w innych warunkach nigdyby nie myślał. Natura działa na człowieka w przedziwny sposób, pogłębia jego wartości duchowe, umożliwiając mu wydobycie tych wartości na wierzch przez zdolności myślenia i zastanawiania się nad rzeczami najważniejszemi i najgłębszemi.

Grey Owl — to nowy nauczyciel ludzkości, to apostoł wielkiej idei, idei obcowania z naturą.

Jego książki są odzwierciadleniem jego myśli, pięknych wzniosłych i w swej prostocie — głębokich.

Ostatnia jego praca jest może najpoważniejszą ze wszystkich, posiada najwięcej wartości wewnętrznych. Jest to dzieło filozofa, przyrodnika i myśliwego w jednej osobie.

Skoro znów piszę o Grey Owl'u, pozwolę sobie na pewną dygresję, związaną zresztą z tym pisarzem.

Po śmierci Szarej Sowy prasa całego świata rozbrzmiewała dziwnemi pogłoskami o tym Indjaninie. Pisano, że nie jest Indjaninem, że jest Anglikiem, że po braku jednego palca u nogi poznano go, jako studenta z Oxfordu i t. d.

Zdaje mi się jednak, że żaden z publicystów nie przeczytał dokładnie jego książek, nie przeczytał prospektu ogłoszonego przez wydawcę prac Grey Owl'a.

Ani Grey Owl, ani jego wydawca nigdy nie twierdzili, że Szara Sowa jest 100%-wym Indjaninem. Wiadomo bowiem dobrze, że jego ojcem był Irlandczyk, a jedynie matka pochodziła ze szczepu indjańskiego Apaszów. Komu zależało by na tem kłamstwie? Szarej Sowie?... Czy człowiek tak prostolinijny byłby zdolny do tak nic nieznaczącego, niepotrzebnego kłamstwa? Wydawcy?... Czyż potrzebował on aż takiej reklamy? Najlepszą reklamą dla dzieł Grey Owl'a są wyjątki z jego prac. Pocóż szukać lepszej reklamy w kłamstwie, które prędzej czy później wyjdzie na jaw.

Jest, mojem zdaniem, inna przyczyna w doszukiwaniu się w Grey Owl'u „białej rasy". Jest nią zazdrość, że pisarz tej miary, że człowiek tej głębi uczuć i inteligencji wzrastał wśród „dzikich Indjan". Że cały szereg autorów, znanych na kontynencie europejskim, zeszedł na drugi plan wobec wielkości „dzikiego trapera". Zawstydził on białych „cywilizowanych" sportsmenów Europy. Zganił, odważył się zganić poczynania białych, dla których Indjanin był „szkodliwem bydlęciem".

Oto przyczyna dziwnych, niezrozumiałych dla mnie napaści. Napaści tem bardziej krzywdzących, że Szara Sowa dziś już sam nie może replikować. Autorzy tych napaści czekali cierpliwie, aż Grey Owl zamknie oczy, bo gdyby żył, odpowiedziałby z właściwą sobie prostotą, bez cienia zarozumiałości i tą bezwzględną prostolinijnością swej odpowiedzi zgnębiłby swych przeciwników.

A zresztą...

Czyż nie jest obojętnem, kim był? Indjaninem, Anglikiem? Był Człowiekiem przez duże C, człowiekiem, który wskazywał ludziom drogę do jaśniejszego życia, do rozmiłowania się w przyrodzie, do spostrzegania piękna natury. Nieważny jest kolor — ważną jest treść. A treść była ponad miarę przeciętnego człowieka.

Grey Owl od ośmiu miesięcy nie żyje. Zmarł na zapalenie płuc w szpitalu, w Montrealu. Daleka Północ, ostatnia granica, czar wichrów i mroków, „groźna biała cisza" zmogły go. Ale jego dzieła, jego poglądy i zapatrywania będą miały zawsze licznych zwolenników. I zawsze znajdą się ludzie, którzy przeżyją radosne chwile uniesienia, gdy czytać będą jego prace. I zawsze znajdzie się pewien, choćby znikomy, procent ludzi, którzy przejmą się ideałami Szarej Sowy, „dzikiego Indjanina", i te ideały będą sie starali ucieleśnić, a przecież zmarłemu pisarzowi o nic innego nie chodziło.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Sprawozdanie Zarządu Pińskiego Kółka Myśliwskiego z działalności za okres od 1 marca 1937 r. do 28 lutego 1938 r.

1. SPRAWOZDANIE KASOWE:

Ogólne wpływy łącznie z pozostał. z poprzedniego okresu budżet . . . . 5067.88 zł.
Ogólne wydatki . . . . 2983 72 zł.

Stan kasy na dzień 1 marca 1938 r. . . . 84.16 zł.

2. CZŁONKOWIE KÓŁKA:

W dniu 1.III.1937 r. stan liczbowy członków Kółka wynosił 14 osób.
W okresie sprawozdawczym ewidencja członków wykazała następujące zmiany: wystąpienie 4 członków i wstąpienie 11 członków.

Ogółem stan liczbowy członków P. K. M. na dzień 1.III.38 r. wynosił 21 osób.

1. p. komandor Zajączkowski Witold — Prezes.
2. „ mjr. dypl. Szczekowski Władysław — Łowczy
3. „ kmdr. ppor. Reutt Mieczysław — Skarbnik
4. „ por. mar. May Jan — Sekretarz
5. „ kpt. art. Biedrzycki Władysław
6. „ por. piech. Błażej Franciszek
7. „ por. piech. Gregorewicz Józef
8. „ mecenas Janiszewski Mikołaj
9. „ kpt. mar. Kuczkowski Jgnacy
10. „ kpt. mar. Kierkus Jan
11. „ por. art. Kloc Eugenjusz
12. „ Markiewicz Mieczysław
13. „ Mężnicki Jan
14. „ kpt. piech. Rożański Adam
15. „ kpt. mar. Sierkuczewski Mieczysław
16. „ dyr. Snitowski Franciszek
17. „ ppłk. dypl. Sztarejko Stanisław
18. „ kpt. piech. Szwarnowiecki Zdzisław
19. „ kpt. piech. Tupikowski Jan
20. „ mjr. Zawisza Emil
21. „ mjr. Żelewski Józef

3. TERENY ŁOWIECKIE:

W dniu 1.III.1937 r. ogólna ilość terenów łowieckich wynosiła ca 16107 ha.
W okresie sprawozdawczym wyzbyto się 5691 ha terenów, natomiast dodzierżawiono 4598 ha

Ogółem na dzień 1.III. 1938 r. P. K. M. posiada terenów łowieckich ca 15689 ha kosztem tenuty rocznej 1.376 zł., czyli przeciętnie około 8 gr. za 1 ha i około 747 ha na członka.

4. STRÓŻE ŁOWIECTWA:

Stan liczbowy stróży łowiectwa wynosił w dniu 1.III.1938 r. — 12 osób.

Sposób wynagradzania stróży pozostał ten sam co w latach ubiegłych, a wynagrodzenie w roku 1937/38 wynosiło 798,60 zł.

5. ODBYTE POLOWANIA ZBIOROWE I ZABITA ZWIERZYNA

7.XI. 37	Mołodkowicze	14 strzelb,	zabito	36 zajęcy,	2 lisy	
14.XI. 37	Krajnowicze	14	„	40	„	
21.XI. 37	Sienin	8	„	8	„	
28.XI. 37	Ochowo	20	„	42	„	
5.XII.37	Chołożyn	16	„	27	„	1 lisa
8.XII.37	Wólka	10	„	9	„	
12.XII.37	Wyłazy	7	„	17	„	
19.XII.37	Chołożyn	14	„	35	„	1 lisa, [1 kozła
9.I.1938	Franopol	9	„	19	„	
16.I.1938	Ładoroż	12	„	5	„	2 kozły [3 dziki
23.I.1938	Franopol	4	„	16	„	
30.I 1938	Wólka	9	„	8	„	3 lisy [i 2 cietrzewie

Razem 12 polowań zbiorowych, na których zabito: 262 zające, 7 lisów, 3 dziki, 3 kozły i 2 cietrzewie.

Poza polowaniami zbiorowemi na terenach Kółka zabito:

Cietrzewi na tokach	8	Bataljonów	5
Cietrzewi z pod psa	12	Kulonów	3
Kuropatw	100	Kurek	2
Słonek	7	Nurków	1
Kaczorów	103	Bekasów	1
Kaczek	139	Bąków	1
Kulików	20		

Wynik polowań w ubiegłym sezonie należy uważać za dobry, biorąc pod uwagę niepomyślne warunki dla polowań letnich — nienotowany niski stan wody i wyschnięcie bagien, jak i zimowych — bezśnieżna, mokra zima.

Stan kaczek na terenach Kółka był w sezonie ubiegłym niebywale niski. Spowodowała to susza, która umożliwiła kłusownikom i pastuchom dostęp do miejsc lęgowych i wybieranie jaj kaczych dosłownie tysiącami, a następnie w sezonie letnim zmusiła kaczki do odlotu na większe wody (jeziora). W rezultacie jesienią nie było prawie polowań na „przelotach" i „sadach". Z ogólnej liczby 242 kaczek połowa, bo 103 sztuki, stanowią kaczory upolowane na wiosnę przy „krykusze".

Natomiast dzięki tym suchym warunkom klimatycznym poprawił się wydatnie stan kuropatw i cietrzewi. Przyrost tej zwierzyny należy liczyć conajmniej na 50%. Niestety tylko nieliczni członkowie Kółka korzystali z możliwości polowania na ptactwo, tak że większość terenów kuropatwich została zupełnie nieopolowana.

Toki cietrzewie liczbowo dały słaby wynik ze względu na rozproszenie kogutów na toku i małą frekwencję myśliwych.

Zimowe polowania zbiorowe naogół dały wyniki dobre — ilość zabitych zajęcy była mniej więcej ta sama co w roku ubiegłym, natomiast trofea grubszej zwierzyny były lepsze, albowiem padło 3 dziki, 3 kozły i 7 lisów.

Przechodnie wilki ukazywały się kilkakrotnie w lasach państwowych Wólka, lecz z powodu braku śniegu i ponowy nie udało się ich otropić.

6. TĘPIENIE DRAPIEŻNIKÓW:

Według posiadanych informacyj, na terenach łowieckich Kółka zabito w okresie sprawozdawczym:
1 psa, 6 jastrzębi i 1 wronę.

7. TĘPIENIE KŁUSOWNIKÓW:

W okresie sprawozdawczym ujawniono jeden wypadek kłusownictwa, przyczem kłusownikowi odebrano pięć wnyków. Sprawę skierowano do Starostwa, —wynik jej narazie nieznany.
Ponadto wypłacono 25 zł. nagrody za ujawnienie kłusownika z poprzedniego okresu.

8. ILOŚĆ ODBYTYCH ZEBRAŃ:

W okresie sprawozdawczym Kółko odbyło 1 zwyczajne Walne Zebranie 1 nadzwyczajne Walne Zebranie i 3 posiedzenia Zarządu.

Sekretarz
J. May, por. mar.

Prezes P. K. M.
W. Zajączkowski, kmdr.

Skarbnik
M. Reutt, kmdr. ppor.

Łowczy
Wl. Szczekowski, mjr. dypl.

II Zawody Myśliwskie Towarzystwa Łowieckiego w Krotoszynie w dniu 3 i 10 lipca w 1938 r.

Otwarcia II Zawodów Myśliwskich dokonano punktualnie o godz. 9-tej rano w dniu 3.VII. r. b. w obecności licznych miejscowych i pozamiejscowych zawodników, publiczności oraz Zarządu Towarzystwa. Po odegraniu hejnału myśliwskiego przez trębaczy uczniów Szkoły leśnej i zaciągnięciu sztandaru — Zarząd w komplecie rozstawił się przy wszystkich rzutniach i oddał wspólnie po jednym strzale do wyrzuconych rzutków „Monte", z których po rozbiciu ukazały się w powietrzu czerwone chorągiewki. Następnie przystąpiono do zawodów.

Pogoda nie sprzyjała — dzień był dżdżysty i przelotne deszcze. Pomimo to frekwencja w zawodach, jak wśród widzów, była zadowalająca. Na prośbę zawodników postanowiono zawody zakończyć dopiero w dniu 10.VII. r. b. t. j. w następną niedzielę, by umożliwić nieobecnym zawodnikom również wzięcie udziału.

Dzień 10.VII. r. b. pod względem pogody nie odbiegał wiele na korzyść zawodów od dnia 3.VII. r. b. — ściągnął jednak sporą ilość wyznawców św. Huberta na miejsce rywalizacji, oraz około 1500 osób publiczności. Prócz miejscowych zjawiła się również pokaźna liczba pozamiejscowych zawodników, jak z Ostrowa, Jarocina, Leszna, Katowic, a nawet z Warszawy. Niezależnie od strzelań do rzutków odbyły się również strzelania do stojącego rogacza i dzika w biegu.

Zachwyt wywołało u zawodników pomysłowe i fachowe urządzenie strzelnicy przy rzutkach. Dzięki temu też zawody odbywały się sprawnie. Wydatną pomocą przysłużyła się Wielkopolska i Pomorska Izby Rolnicze, Kursy dla Leśników w Krotoszynie, oraz Dowództwo 56 p. p., przyczyniając się swoim wysiłkiem do budowy strzelnicy.

Do rzutków — w klasie A strzelało 53 zawodników. W klasie B ta sama ilość t. j. również 53. Do stojącego rogacza oddano 466 seryj, do dzika w biegu 285 seryj.

WYNIKI BYŁY NASTĘPUJĄCE:

Rzutki w klasie „A"

I	Miejsce zdobył	p. Szych Antoni z Krotoszyna	19/20
II	„ „	p. Inder Stroth Otto z Dobrzycy	18/20
III	„ „	p. Dr. Ciążyński Józef z Leszna	17 20
IV	„ „	p. Jarosz Jan z m. Rochy	17/20
V	„ „	p. Kittner z Fabjanowa	16/20
VI	„ „	p. Kryszkiewicz Edmund	15/20

Rzutki w klasie „B"

I	miejsce zdobył	p. Graczyk Zygmunt z Krotoszyna	9/10
II	„ „	p. Pawlak Paweł z Krotoszyna	8/10
III	„ „	p. Kutrzyński z Warszawy	7/10
IV	„ „	p. Nowak Ludwik z Krotoszyna	7/10
V	„ „	p. Piaseczny Czesław z Krotoszyna	6/10
VI	„ „	p. Cugier z Kalisza	6/10

Rogacz

I	miejsce zdobył	p. Szulczyński Stefan z Krotoszyna	30/30
II	„ „	p. Szczepaniak Tadeusz z Krotoszyna	30/30
III	„ „	p. Buchta Zdzisław z Krotoszyna	30/30
IV	„ „	p. Baran Ludwik z Krotoszyna	30/30
V	„ „	p. Keller Józef z Krotoszyna	30/30

Dzik w biegu

I	miejsce zdobył	p. Filipiak Władysław z Krotoszyna	30/30
II	„ „	p. Dopierała Wład. z Krotoszyna	29/30
III	„ „	p. Keller Józef z Krotoszyna	27/30
IV	„ „	p. Kotecki Ludwik z Krotoszyna	26/30
V	„ „	p. Szych Antoni z Krotoszyna	25/30

Przy strzelaniu do rzutków przestrzegano ściśle obowiązujący regulamin, który między innemi kładł obowiązek strzelania tylko z rzutu, natomiast do rogacza i dzika — stojąc, z wolnej ręki.

Wieczorem o godz. 10-tej hejnałem myśliwskim zakończono zawody i przystąpiono do rozdania nagród.

Prócz powyższych zawodów w tymże dniu nastąpiła rozgrywka o piękny puhar kryształowy fundacji Księcia Czartoryskiego, Łowczego Powiatowego z Baszkowa. O nagrodę przechodnią strzelano do 20 rzutków z rzutu, według oddzielnego regulaminu. Zdobywcą puharu na rok 1938/39 jest Zarządca lasów miejskich w Krotoszynie p. Kryszkiewicz Edmund.

Zarząd

(—) STRÓŻEWSKI
wz. sekretarza

(—) NOWACZKIEWICZ
prezes

KRONIKA MYŚLIWSKA

— Tow. Prawidłowego Myślistwa w Olkuszu z okazji swego patrona urządziło na własnych terenach w okolicy Kosmolowa w dniu 20 listopada r. b. reprezentacyjne polowanie, poprzedzone nabożeństwem w kaplicy kosmolowskiej, odprawionem przez ks. Mazura z Olkusza, pienia religijne podczas nabożeństwa wykonał chór „Hejnału' pod bat. p. Kardaszewskiego, również kilka pieśni odegrała miejscowa orkiestra.

Podczas polowania w 25 strzelb ubito: 67 zajęcy, 13 cietrzewi, 8 lisów i kilkanaście kuropatw. W przerwie myśliwi raczyli się tradycyjnym bigosem.

W polowaniu brał udział członek Kieleckiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej p. W. Żarnowski z Radomia, przedstawiciel myśliwych Zagłębia inż. W. Kraupe, z ziemiaństwa pow. olkuskiego zaś pp.: J. Siemiątkowski z Poręby Dzierżnej, W. Skarbek-Borowski z Minogi i St. Arkuszewski z Pilicy.

Na nabożeństwie byli obecni: w imieniu starosty, wicestarosta Staśko, oraz komisarz Pohoski.

— W dniu 8 listopada r. b. odbyło się w majątku Białka u P. Waldemara Doria-Dernałowicza polowanie. Opolowano kilkadziesiąt ha zagajników z rezultatem: 301 królików, 75 bażantów, 33 zające, 2 słonki i 1 różnych; razem szt. 412.

Brali udział pp. Ks. Z. Czetwertyńska, Ks. Wł. Czetwertyński jn., Jaźwińscy Zygmunt, Konstanty i Tadeusz, Lipski Kazimierz, Potocki hr. Andrzej, Zamoyski hr. August, Zółtowski hr. Andrzej, Dernałowicz Doria Waldemar.

— W dn. 10 listopada r. b. polowano w Borkach u SS. ś. p. Z. Jaźwińskiego. Na rozkładzie 179 bażantów i zajęcy. Polowali pp.: Andrycz Włodzimierz, Czetwertyński Ks. Wł. jn., Dernałowicz-Doria Aleksandra, Waldemar, Adam i Stanisław, Zamoyski hr. August, Zółtowscy hr. Andrzej i Jerzy.

— W dn. 12 listopada r. b. polowano w maj. Jabłoń Augusta Hr. Zamoyskiego i ubito 224 bażanty, 72 zające, 1 lisa, 1 słonkę, 2 różne; razem szt. 301. — Strzelb 10, t.j. Dernałowicz-Doria Waldemar, Czetwertyński Ks. Włodz. jn., Grocholski hr. Remigjusz, Hutten-Czapski hr. Stan., Jaźwińscy Zygm. i Konstanty, Młynarski Bronisław, Chrostowski Kazimierz, Potocki hr. Andrzej, Zamoyski hr. August.

— Dnia 26 listopada 1938 roku w Styrzyńcu u p. Ludwika Kuglera przy pięknej pogodzie odbyło się polowanie, na którem w 14 strzelb ubito 3 lisy, 314 zajęcy, 27 bażantów, 1 kaczkę. Polowanie w Styrzyńcu, gdzie przed 10 laty padało wszystkiego kilkadziesiąt sztuk, jest typowym przykładem do czego może doprowadzić wysiłek zamiłowanego hodowcy zwierzyny. To też za te niezapomniane wrażenia myśliwskie, jakie daje polowanie u p. Ludwika Kuglera, w imieniu wszystkich uczestników, składam serdeczne życzenia tak pięknych rezultatów i na przyszłość.

STEFAN RACIĘCKI
maj. Wysokie.

MYŚLIWI
zbierajcie
wystrzelone
łuski na F. O. N.
i oddawajcie je Łowczym Powiatowym

Wykaz źródeł zakupu artykułów i sprzętu myśliwskiego

Inż. Cz. Kołodziejski, (biuro i salon wystawowy), Warszawa, Plac Napoleona 3 (tel. 2-28-20): motocykle, łodzie motorowe, ślizgacze, silniki przyczepne do łodzi, silniki kajakowe.

Przetwory zwierzęce. Sp. z o. o., Poznań 14, ul. Mogileńska 57 (tel. 27-45): przedniej jakości mąka mięsna, śruta mięsokostna dla psów, drobiu i bażantów.

F. Krawjański i S. Czołowski, Lwów, Plac Marjacki 8 (tel. 2-28-66): kartki widokowe (pocztówki) myśliwskie ze zwierzyną, ptactwem leśnem i górskiem; druki i zaproszenia na polowania, karty do gry.

Jerzy Butlow, Warszawa, Żytnia 20 (tel. 2-61-82): świstawki rogowe na psy — hurt, detal.

Fabryka Przetw. Chemicznych „Dobrolin" poleca tłuszcz, chroniący obuwie od nasiąkania wodą p. n. „Dobrolin". Do nabycia w składach aptecznych, mydlarniach i t. p.

Antoni Kobzda, Mysłowice ul. Piłsudskiego 16 (tel. 2.22-10), hurtownia żel. i przyborów myśliwskich, poleca dubeltówki, pistolety, naboje, śrut, proch, wszelkie przybory. Hurt — detal.

„Espol", najstarsze konc. przedsiębiorstwo wszelkich robót asfaltowych i krycia dachów papą, oraz nowoczesnych betonowych, wykonuje budowę dróg, chodników, podwórzy i t. p. usuwa wilgoć, grzyb, konserwuje dachy i konstrukcje żelazne. Lwów, ul. Pierackiego 50. Firma chrześcijańska.

TREŚĆ NUMERU:

OD REDAKCJI

STALE WZRASTAJĄCE UZNANIE I POPARCIE, JAKIEM W SZEROKICH KOŁACH MYŚLIWYCH MOŻE POSZCZYCIĆ SIĘ „ŁOWIEC POLSKI", POZWALA NA TO, ŻE ZNOWU JESTEŚMY W MOŻNOŚCI OBNIŻYĆ PRENUMERATĘ.

Z DNIEM 1 STYCZNIA 1939 R. „ŁOWIEC POLSKI" KOSZTOWAĆ BĘDZIE TYLKO 24 ZŁ. ROCZNIE, A DLA CZŁONKÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO — 20 ZŁ. ROCZNIE.

RADOSNĄ TĄ WIADOMOŚCIĄ DZIELIMY SIĘ ZE WSZYSTKIMI NASZYMI PRENUMERATORAMI, UFAJĄC, ŻE BĘDĄ ONI I NADAL OCENIAĆ NASZE WYSIŁKI W SPOSÓB POZWALAJĄCY NAM NA PODNOSZENIE POZIOMU NASZEGO PISMA Z JEDNOCZESNEM OBNIŻANIEM JEGO CENY.

ZAWIADAMIAMY RÓWNIEŻ, ŻE ZAJDZIE ZMIANA W TERMINACH UKAZYWANIA SIĘ „ŁOWCA POLSKIEGO" I ŻE OD 1 STYCZNIA 1939 R. WYCHODZIĆ ON BĘDZIE DWA RAZY NA MIESIĄC, W OBJĘTOŚCI ODPOWIEDNIO ZWIĘKSZONEJ, 24-ch I 32-ch KOLUMN NA ZMIANĘ. W TEN SPOSÓB PRENUMERATORZY I CZYTELNICY „ŁOWCA POLSKIEGO" NIETYLKO NIE STRACĄ NIC NA WPROWADZENIU INNEGO SYSTEMU WYDAWANIA „ŁOWCA POLSKIEGO", LECZ PRZECIWNIE, ZYSKAJĄ OSIEM KOLUMN DRUKU MIESIĘCZNIE.

PRÓCZ TEGO POSTANOWILIŚMY WYDAĆ W POSTACI BROSZURY PRACĘ P. STANISŁAWA HOPPEGO P. T. „POLSKI JĘZYK ŁOWIECKI", KTÓRĄ PRZEZNACZAMY DLA PRENUMERATORÓW „ŁOWCA POLSKIEGO" ZA CENĘ WŁASNYCH KOSZTÓW — 1 ZŁ.

WYRAŻAMY PRZEKONANIE ŻE BĘDZIE TO POWITANE PRZEZ WSZYSTKICH Z ZADOWOLENIEM, GDYŻ W DZIEDZINIE JĘZYKOWEJ PANUJE W PIŚMIENNICTWIE ŁOWIECKIEM WIELKI CHAOS, KTÓREMU PRZECIWSTAWIĆ SIĘ ZAMIERZA TA PRACA.

W ŁĄCZNOŚCI Z TEM PROSIMY WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW O WPŁACENIE W PIERWSZEM PÓŁROCZU, W PIERWSZYM KWARTALE, LUB W PIERWSZYM MIESIĄCU 1939 ROKU, RAZEM Z NALEŻNOŚCIĄ ZA PRENUMERATĘ 1 ZŁ. ZA NAZWANĄ BROSZURĘ, KTÓRĄ TRAKTUJEMY JAKO PEWNEGO RODZAJU PREMJUM, SKALKULOWANE TAK NISKO, DZIĘKI WŁĄCZENIU JEGO CENY DO PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO".

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24; miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

WŁADYSŁAW KACPERSKI

WARSZAWA, CHEŁMSKA 21, m. 35
PRACOWNIA ARTYST. RZEŹB.

TELEFON 4-31-25

Mam zaszczyt zwrócić uwagę J.W.P. że będąc rzeźbiarzem, pracuję jako preparator z wielkim zamiłowaniem i znajomością fachową, nabytą wieloletnią praktyką, dzięki czemu w Polsce jedynie przezemnie wypchane okazy stoją na poziomie sztuki. Ceny stawiam umiarkowane.

W obrębie miasta Warszawy, na zawiadomienie listowne lub telefoniczne, okazy odbieram pod wskazanym przez J.W.P. adresem.

Wyprawiam skóry — farbuję futra

S. KAMOCKI

MILANÓWEK, GRUDOWSKA 12.
Telefon 31-47

Zakupuje żywe bażanty, kuropatwy i zające

Sieci, personel fachowy do dyspozycji

Płatność gotówką



SKÓRY SARNIE, JELENIE NA ZAMSZ

wysyłać

do Warsz. Sp. Myśliwskiej
Wilno, Wileńska 10

przyjmujemy również
SKÓRY DO WYPRAWY, NA DYWANY I KOŁNIERZE

Cennik na żądanie.

BEZ SOLI
NIE WYHODUJESZ ZWIERZYNY!

OZNAKI
„STRAŻNIK ŁOWIECKI"

z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę

poleca:

Administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, N.-Świat 35

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Juljanka st. kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę (zające bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Dwa dobre wyżły szorstkowłose niemcy w drugiem i w pierwszem polu sprzedam tanio. Pierwszy specjalizuje się w pracach letnich na farbie. P. Hajda, leśniczy. Państw. Leśnictwo Miłaszka, poczta Grabów n/Prosną, pow. Ostrów Wlkp.

Jamniki rasowe, brązowe, bardzo ładne, ur. 23-go października po 35 zł., sprzeda Wacław Sobczak leśniczy, Leś, Żawidza, p. Łoniów.

Kupujemy zwierzynę żywą, łowimy własnemi sieciami. O zaofiarowanie już teraz prosimy. „Akra", Leszno Wlkp. tel. 71

Kupujemy na eksport każdą ilość kwiczołów, sarn i łań ze świadectwem odstrzału, dziki do 30 kg. wagi oraz wszelką inną dziczyznę ubitą. Przed polowaniem prosimy zarządać oferty. „Akra", Leszno Wlkp. tel. 71.

Kupuję żywe bażanty, kuropatwy, zające według najwyższych cen z natychmiastową zapłatą. Siecie do chwytania, instrukcje, opakowanie, stawię bezpłatnie do dyspozycji. Eksport żywej zwierzyny, Wolf v. Bernuth, Borowo-Villa, poczta Czempiń, tel. Czempiń 32.

Okazja. Sprzedam tanio bardzo ładną kolekcję batalionów-bojowców lub na sztuki. Kobryń, Biernackiego 118, Serek.

Psiarczyk - kawaler znający się na tresurze psów (posokowce, tropowce i gończe) i prowadzenie ich w lesie, poszukiwany. Oferty z podaniem warunków nadsyłać: Oddział Łowiectwa Dyrekcji Lasów Państwowych Białowieża.

Settery irlandzkie 10-tygodniowe, rasowe, z rodowodem, sprzedam. Wanda Stojanowska, Warszawa, Krucza 3-5, tel. 8.08-16.

Sprzedam młodego psa 9 mies. rasy niemieckiej „Deutsch-Drahthaar" po znanych rodzicach z rodowodem. Adres, Hodowla psów rasowych H. Zabłockiego. Skierniewice ul. Traugutta 8.

Stary, znakomity miód, rzadki trunek, poszukiwany przez znawców, **z lat 1861, 1864 i 1867** w ilości 100 butelek, w oryginalnem opakowaniu, **okazyjnie do sprzedania** w całości lub częściowo. Wiadomość: „Łowiec Polski" tel. 666-29, Piśmiennie: Warszawa, Nowy Świat 35.

Szorstkowłose szczeniaki, po sprowadzonych z Wiednia rodzicach, zarejestrowane w Klubie Hodowców Wyżła Niemieckiego, do sprzedania, cena 60.— lub 80.— zł. Zamówienia: Konstanty Kościukiewicz, poczta Ołyka, Cumań.

Zające żywe w kompletach 1:2, rosłe, zdrowe, leśne, lub polne, po 51 zł. komplet, łącznie z opakowaniem, loco stacja załadowania sprzeda Zarząd Miejski w Toruniu Dobra i Lasy.

Zginęła 13 listopada r. b. suka pointerka *(wyżeł angielski)* Splendor „Irma", bronzowa krawat i końce palców u nóg białe. Ostrzega się przed nabyciem. Znalazca lub nabywca proszony jest o powiadomienie. Warszawa, Krucza 34, tel. 851-14. A. Brudnicki.

Zmienię posadę leśniczego bażantarnika kaw. na żonatego pozn. lat. 35, znajomość pielęgnacji lasu, sianie szkółek, zakładanie kultur, zamiłowany hodowca zwierzyny. specjalista hodowli bażantów, sygnalizacja, tresura wyżłów. Łask. oferty pod. warunków do Adm. Łowca Nr. 1920.

3 samice Albinofretki wypróbowane 20 zł. sztuka. Leśnictwo Dłoń, Wielkopolska.